

I

TAXI,
TAXI!

s. 74

Komendarek
s. 17

Alterpop

1.25 zł (w tym 23% VAT)

styczeń-luty 2012



Każda rodzina jest święta z natury

SPIS

treści



Słowo

Dźwięk

.... jest
:
.... był
:
:

.. będzie

Obraz

.... jest
:
.... był
:
:

.... jest
:
.... był
:
:
.. będzie

Redaktor naczelny:
Tadeusz Bisewski

Redakcja:
Dawid Brykański
Karolina Joisan
Ewelina Leszczyńska
Joannus

Korekta:
Wydawnictwo Ekwita
www.ekwita.pl
Korekta składu:
Alicja Bisewska

Wydawca:
Słońce-Księżyc
Alicja Bisewska
ul. Gnieźnieńska 8/1
84-230 Rumia

PREMIERY

plytowe

Hard-Fi

Killer Sounds

★★★★★★



Tym razem dałem się złapać na okładkę. Te cztery czaszki jakoś się do mnie sympatycznie szczyrzyły. Potem szczyrzyłem się i ja. Bardzo dobrze wybrałem płytę. Wreszcie jakiś angielski zespół, który nie cierpi na wieczne depresje, melancholie i histerie.

Zabić dźwiękami to może Hard-Fi nie zabija, ale wigoru i pomysłowości odmówić im nie można. 11 zwartych piosenek zrobionych jest tak, że same wchodzą w uszy i do głowy. Co gorsza zostają tam na dłużej. Potencjalne przeboje to *Good For Nothing* – trochę pod Gorillaz, ale z ciekawym etnicznym rytmem, przy *Fire In The House* mam problemy z usiedzeniem w miejscu,

a za *Give It Up* to się koleżkom z Hard-Fi jakieś Grammy czy co tam należy. I za całą płytę też. Na przykład w kategorii inteligentny, ale niedołujący skoczny rock brytyjski.

Hard-Fi to zespół nowoczesny. Jak się więc włoży płytę do czytnika, a internet hula, to przekieruje nas na jakąś oficjalną podstronę. A tam dwa dodatkowe kawałki do ściągnięcia. Też miło.

SuperHeavy

SuperHeavy

★★★★★★



Płyta roku. Po prostu. Jagger i jakże wyśmienita ekipa nagrała materiał, który smakuje zawsze i wszędzie.

Impreza? Nawet się nie wahaj, towarzystwo będzie tańczyć do świtu. Jedziesz daleko i się nudzisz? Uważaj,

SuperHeavy może sprawić, że przejedziesz swoją stację. Siedzisz sam w domu i nie masz co robić? Ta ekipa sprawi, że niespotykana energia wstąpi w twoje ciało i umysł. Przy okazji posłuchaj, jak to jest zrobione, jest się w co wsłuchać. Doskonałe melodie, reagowe rytmy, przebojowe refreny, wysmakowane aranże, zdystansowany do siebie Mick, sami faceci i ona jedna – wdzięczna, bosa, roztańczona – Joss Stone. Łatwo się od tej płyty uzależnić.

Na deser clip *Miracle Worker*, w którym nie dzieje się nic, czyli wszystko. A Jagger udaje starego diabła, który naprawi to, co w życiu nie gra.

Różni wykonawcy

Męskie granie 2011

♣♣♣♣♣♣♣



Wydaje Wam się, że Polskie Radio to skostniała instytucja, która nadaje już tylko dla przedwczesnych emerytów generowanych przez ekipę Tuska? Macie rację, tak Wam się tylko wydaje. Box (3 CD i 1 DVD) *Męskie Granie 2011* to czad ponad inne czady. A za tę płytę odpowiada właśnie Polskie Radio.

Nie jest to może męskość ociekająca testosteronem, raczej męskość jako

charakter. I taka jest o wiele ciekawsza, bo dojrzała. Dyrektorem obwoźnego festiwalu był Wojciech Waglewski i również on nadał artystyczny ton całości. Płyty zamyka i otwiera Waglewski z Voo Voo lub Waglewski z Moździerzem. Właśnie przekrój przez różne stylistyki to kolejna „siła” tej płyty. Od Pink Freud, przez Spiętego, Bajzel, Muchy, Lao Che po Janerkę, Titusa z Acid Drinkers czy takiego muzycznego zombie jak Mu-

Skala ocen:

♣♣♣♣♣♣♣♣

Space Ritual

♣♣♣♣♣♣♣♣

Stairway To Heaven

♣♣♣♣♣♣♣♣

To musi być miłość

♣♣♣♣♣♣

Dusza diabłu sprzedana

♣♣♣♣♣♣

Nadciąga noc komety

♣♣♣♣♣

I Can't Get No Satisfaction

♣♣♣♣

Welcome To The Jungle

♣♣♣

Ta piosenka powstała dla pieniędzy

♣♣

Mam tak samo jak ty

♣

Kim jest człowiek, jeśli nie człowiekiem tylko

niek. Ale w takim towarzystwie nawet Staszczuk coś z siebie dał i prezentuje się na płycie więcej niż przyzwicie. Może dlatego, że z jednym utworem – *Stary boy?* Młodzi obok starych wyjadaczy. Porywczy i gniewni obok stonowanych i zdystansowanych. Z dorobkiem i bez. Taka różnorodność oraz ilość (każda z płyt to ponad lub prawie godzina muzyki) sprawiają, że pewnie każdy tu znajdzie coś dla siebie. A z drugiej strony udało się sporządzić wybór taki, że trzech płyt słucha się jak jednego spójnego koncertu. Tu nie ma nawet minuty nudziarstwa. Moim faworytem pozostaje Janerka. Pojawia się dwa razy – raz „solo”, czyli z zespołem własnym, drugi w duetach (różne konfiguracje). Teksty, aranże, zaangażowanie i wykonanie „na żywca” u niego chyba zawsze jest na europejskim poziomie. Do tego to absurdalne poczucie humoru... np.

Mój sztylecik w twoim sercu:

*To różowe to ruchoma dupka
A to białe to odnóża trupka
Gang stokrotek opanował płotek
Głupek głupek gania wokół słupka*

*Mój sztylecik w twoim sercu
Mój sztylecik w twoim sercu
Tkwi*

Wydawnictwo uzupełnia krótki paradokument z trasy. Czyli wypowiedzi muzyków i osób zaangażowanych. Ponieważ mam nadzieję, że kolejne edycje się odbędą, proponuję, by do minimum ograniczyć wypowiedzi P. Stelmacha i A. Gacek. Reszta ma i może zostać.

Rewelacyjne wydawnictwo. Krajowe, a nad podziw udane. Zasłużona platyna!

Maciej Maleńczuk z zespołem Psychodancing

Wysocki Maleńczuka

♦♦♦♦



Ponoć na grobie Wysockiego młodzi Rosjanie roztrzaskują swoje gitary. Nie wiem, co będzie roztrzaskiwać młodzież na grobie Maleńczuka. Złośliwość mi podpowiada, że flaszki. A jeszcze większa złośliwość, że reklamy.

Chyba nie jestem odpowiednią osobą, by recenzować płytę kolegi Maleńczuka. Jestem do tego typu tak uprzedzony, że nawet gdyby wystąpił z Mickiem Jaggerem uznałbym, że to fałsz, błaga i obłuda. Stwierdzam więc, że płyta złożona z piosenek Wysockiego to najwyższej klasy, profesjonalna robota. Zapewne są to więcej niż poprawne interpretacje, przesycone „buntowniczym” i „gniewnym” charakterem M. Maleńczuka. A ja tego zwyczajnie nie umiem docenić.

Po prostu nie ufam ludziom, którzy lansują się na lumpa i łajdaczysko, a ich gębę widzę i u ministra, i na reklamach, i na jakichś plotkach. Nie, nie, nie. Jeszcze raz – NIE!

Lenny Kravitz

Black and White America



Nigdy nie trawiłem tego farbowanego lisa, a tu proszę, jaka udana płyta.

Wszystko pewnie za sprawą tego, iż Lenny postanowił, że będzie teraz trochę bardziej soul. I efekt okazał się satysfakcjonujący. Kravitz nagrał płytę, na której nie ma słabych numerów. Jednocześnie nie są to jakieś błahe muzaki – na taki luksus Lenny by sobie nie pozwolił. Jest na to zbyt przebiegły. Jest więc eteryczny soul, pomieszany z diabelskim rock’n’rollem. A wszystko czarne jak sam diabeł.

Władysław Komendarek

Przestrzenie przeszłości



Udana składanka, jak to się ładnie mówi – przekrojowa. Syntetyczne spojrzenie na dokonania muzyka z Sochaczewa. Słuchając takiej muzyki ma się wrażenie, że kompozytor i wykonawca zarazem pochodzi jednak z innej planety.

Komendarek twierdzi, że to zbyt trudne, dokonać takiego wyboru. Nie dziwne, spośród tylu płyt wybrać to, co najważniejsze? Najlepsze? Najbardziej reprezentatywne? I jak ma to zrobić artysta o tak bezkompromisowych zapatrywaniach? W efekcie mamy tu z jednej strony muzyczne pomieszania z poplątaniem, lecz wszystko jest tak wygładzone i ujęte w taki sposób, że słuchacz z łatwością wpada w trans.

Edguy

Age of The Joker



Z najnowszej płyty Edguy całe New Wave Of British Heavy Metal z Iron Maiden na czele może być dumne. Kaskady mięsistych riffów, przeszywające solówki, galopady basu i bębnow i przede wszystkim ekspresyjny śpiew lidera. Wyrabia się Tobiasz coraz

bardziej. Do tego nie stroni od zabawy słowem i konwencją, by w końcu, w jednym refrenie zaśpiewać: „what the fuck, suck my cock?!”. Oczywiście to pointa przerażająco-zabawnej historii. Na płycie jest też ballada oraz hymn, by sobie wszyscy na koncercie pośpiewali.

Okazuje się, że doświadczenie plus traktowanie stylu i gatunku z dystansem może przynieść coś odświeżającego. Halny to nie jest, ale i tak na płycie dzieje się tyle, że jak na heavy metal to bardzo dużo. Aha, Edguy jest szalenie popularny w Niemczech. Nie jest to jednak typowo grubiańsko-germańskie granie. Jest w Edguyu sporo finezji. Profeska.

Anthrax

Worship Music

★★★★★★



Kiedyś królowie thrashu, to była naprawdę ważna ekipa. Ważna, ale i prześmiewcza (broń Boże kabaretowa). Powrócili na ubiegłorocznym Sonicsphere w formie i najlepszym składzie. Zaraz też wzięli się za nagrywanie premierowego materiału.

Niby wszystko fajnie, ale thrash to muzyka ubiegłej epoki. Panowie mogą wycinać stalowe rify, grać ultraszybkie solówki (Malmsteenowi i tak nie podskoczą), nawalać takie rytmy, że mało się perkusja nie rozleci, a wokalista może wykrzyczeć wszystkie frustracje świata. Nikt im tego nie zabroni. Problem w tym, że minęło wiele lat, a życie oraz ewolucja wymaga, by iść do przodu. Anthrax owszem idzie, ale małymi krokami.

Mam nadzieję, że nie skończą jako proszalne dziady błakające się po scenach, udając, że są groźni, źli i wszystkich zjedzą. Stare płyty naprawdę lubię. Za wigor i poczucie humoru.

DagaDana

Dlaczego nie

★★★★★★



Domyślałem się, że są dobrzy. Słyszałem, że są naprawdę dobrzy. Miłe donosicielki doniosły, że występ jednej z członkiń DagaDany na ubiegłorocznej Nowej Tradycji był bardziej niż świetny. Lecz w obliczu tej płyty stwierdziłem, że i tak tych pochwał jest za mało.

Polsko-ukraińskie trio, laureaci tego i owego (najlepsze dopiero przed nimi)

zrealizowali płytę, której treść i forma zamyka się w słowach: wyważona, wysmakowana, autentyczna. Takiej muzyki słucha się z przyjemnością. Zadbano i o formę, i o treść, a przy okazji muzyka DagaDany ani trochę nie straciła na autentyczności. Wszystkie na siłę lansowane Jopkowe i Jopkopodobne produkty mogą się zwyczajnie schować, spalić ze wstydu albo sam już nie wiem co. Bo DagaDanie nie dorównują.

Wiem, że to nienormalne, ale odkąd posłuchałem tej płyty, zdarza mi się nucić „Wszystkie mają po chłopoku”. Czemu może się to wydawać zabawne, wyjaśni kolejny wers: „a ja nie mam tego roku...” I pomyśleć, że nuci to fan Manowar, Whitesnake czy Vaia. Tak, dobra muzyka nie zna granic. Serce, uszy i odtwarzacz zdobywa od razu.

The SixPounder

*Going To Hell?
Permission Granted!*



Że tak powiem, polska młodzież ryczy zagraniczne piosenki. Ale nie powiem, nawet udanie ryczy. Jeszcze nieokrzyknięta następcami Acid Drinkers wro-

clawska ekipa rażno sobie poczyną w temacie hard rock, hard drugs & hard sex.

Może gdyby nie informacja na płycie oraz wszechwiedzące Google dałbym się nabrać, że to zagraniczna ekipa. Tak dobrze nie ma – słabsze brzmienia, nedorobiony angielski, momentami zbyt wtórne pomysły. Ale i tak nie jest źle.

Oby tak dalej. Garb panom nie wyrośnie. Za bardzo miotają się po scenie.

Halestorm

Live in Philly



No cóż... Pora przyznać się do błędu, a może raczej zaniedbania. Zlekceważyłem debiutancki album Halestormu. I nawet wiem czemu. Odepchnęła mnie okładka. Zbyt komiksowa, co samo w sobie nie jest niczym złym, lecz to był taki... dziecinny komiks.

Na pierwszej płycie rządził rock, który posłuchałem raz czy dwa i płyta wylądowała na półce pt. „zobaczymy, co będzie dalej”. A dalej nadszedł album złożony z CD i DVD. I kiedy sobie

to DVD włączyłem (koncert i klipy), to prawie wykrzyknąłem: „O kur..., ale zajebisty czad!”. Siedziałem tak z rozdziawioną paszczą i chłonałem energię płynącą z głośników oraz TV. Proste, melodyjne rockowe piosenki. Skromne, ale błyskotliwe solówki. Zaangażowanie na maksa. Ekspresja wokalistki – rewelacyjna, głos także. Nie wiem, chyba nie ma elementu, którego nie wypadłoby pochwalić.

Rodzeństwo Arajey i Elizabeth zaczęło próby z nagrywaniem własnych kompozycji w wieku bardzo nastoletnim (mieli 10 i 13 lat), teraz są u szczytu formy i możliwości. To słyszeć i widać. Bo gwiazdą rocka zostaje się mając lat 20.

Ome

Tomek Beksiński



W skład grupy rejestrującej tę nietypową płytę weszli członkowie duetu OMNI, wokalista grupy Mech Maciej Januszko oraz wielu gości. Jak nietrudno się domyślić, płyta to swoisty hołd dla niezującego radiowca Tomka Beksińskiego. Jest on również obecny na

tej płycie – jako autor tekstu.

Muzyka bardzo zróżnicowana i raczej dla wyrobionego odbiorcy. Elektroniczne aranże mieszają się z rockową stylistyką. Do tego pojawia się również nuta progresywna... Teksty, czasem gorzkie, czasem zabawne, często absurdalne. Z pewnością osobiste. Ponieważ jestem tak stary, że pamiętam jeszcze audycje Beksińskiego, z łatwością odczytuję jego ironię czy katastroficzne przesłanie.

Po płytę zapewne sięgną starsi, dojrzalsi fani rocka. I bardzo dobrze – niech wspominają radiowca, który wychował całe pokolenie.

Que ensryche

Dedicated to Chaos



Już sam nie wiem, która to płyta w ich dyskografii. Od pewnego momentu wydają je równie regularnie, jak Tusk i jego ekipa wymyśla nowe podatki. Niestety, do *Operation Mindcrime* temu plackowi daleko.

Niby wszystko jest jak należy. Ostre riffy, intrygujące solówki, rozpoznawalny głos i łomocząca sekcja. Kompozy-

cje – inteligentne, teksty – nie mniej. A jednak przyjemność ze słuchania tej płyty jakaś specjalna nie płynie. W porównaniu z poprzednimi albumami najnowszy wypada dość mdło, blade i bez polotu.

Co mi się bardzo w Queensryche podoba to pewna konsekwencja. Na przykład – fascynacja Queen. Kilka elementów zespołu Mercurego jest na *Dedicated To Chaos* obecnych. Wzbogaca to nieco skostniałą metalową strukturę.

The Kenny Wayne Shepherd Band

How I Go



Blues nie umiera nigdy. Co prawda niewielu białym udaje się oddać ducha muzyki – było nie było – czarnych. Na wszelki wypadek Kenny zaczyna niczym ZZ Top. Potem jest coraz lepiej.

Jego blues to blues bardzo współczesny. Gitary hałaśliwe i jazgoczące. Brzmienie brudne, bliskie rocka. Gitara oczywiście na pierwszym planie, śpiew lidera – taki sobie. Stara się, lecz większych ekscytacji nie wywołuje. Ot,

głos w miarę głęboki, a czasem trochę chrypkę. Zaletą płyty jest brzmienie, takiej sekcji i tak nagranych gitar (Wayne błyszczy w dopracowanych solówkach) słucha się z przyjemnością. Tematy utworów jak blues i świat stare: relacje damsko-męskie, kłopoty sercowe, podróże, symboliczne powroty do domu oraz zmiany osobowościowe zachodzące w podmiocie lirycznym. Raz Kenny i jego band przyłoi aż miło, innym razem uderzy w sentymentalno-romantyczną nutę.

Dołożyłem gwiazdkę za cover *Pretty Woman* Gary'ego Moore'a. Bardzo kompetentnie Kenny oddaje w nim hołd Irlandczykowi oraz pięknym kobietom.

Leash Eye

V.I.D.I.



Leash Eye wydaje płyty bardzo rzadko. Kapela istnieje od 1996, a *V.I.D.I.* to ich zaledwie drugi krążek. Polskie realia bywają zabójcze. Podejrzewam więc, że mimo iż ci faceci grają równo jak sprawna maszyna, to robią to bardziej dla siebie, dla radości grania.

Gdyby taka płyta ukazała się w USA, pewnie w tydzień pokryłaby się platyną

albo platynową platyną. Rzecz jest o samochodach, przemierzaniu niemiernych przestrzeni, ciężarówkach i paru innych tematach, miłych zapewne każdemu Amerykaninowi. To wszystko zostało ubrane w stylistkę zbliżoną do Black Label Society. Nie da się ukryć, super oryginalnie i odkrywczonie jest. Jednak stawiam, że na koncertach Leash Eye stawi się wierna i spragniona takiego grania publika. Bo taki hard rock to muzyka stworzona do grania na żywo.

Lunatic Soul

Impressions



Ponoć ta płyta to „odrzuty” z podstawowych sesji projektu Mariusza Dudy. Daj Panie Boże innym wykonawcom takie płyty, jak Lunatic Soul ma odrzuty. Podejrzewam Dudę, że jak mu się nudzi, to idzie do studia i coś tam dłubie. Dłubie i dłubie tak długo, aż mu coś wyjdzie. Po pewnym czasie uznaje, że jednak nie dość dobrze wyszło i pewnie zostaje w archiwach sporo ciekawego materiału. Na szczęście tym razem „odpady” z sesji wyszły na płycie.

Lunatic Soul to projekt, który w założeniu miał się składać z dwóch albumów. Oba opowiadały o... zbłąkanej duszy. Naturalnie więc muzyczne środki stylistyczne zostały wydelikaczone. Na *Impressions* pojawiły się tylko utwory instrumentalne, które, jak tłumaczy sam Duda, są nie tyle „odrzutami”, co miały być uzupełnieniem do ewentualnych wznowień dwóch pierwszych płyt. I znów wiem, że się powtórzę, ale tej płyty należy słuchać w całości. Od dechy do dechy. To zbyt głęboka muzyka, by dzielić ją na jakieś single, części czy inne podrozdziały. *Impressions* jest jak wyborna powieść, możemy do niej wracać po wielokroć, a i tak odkryjemy coś nowego.

Fani Dead Can Dance powinni być zachwyceni. Lecz nie tylko oni. Ta muzyka jest jak wykwinna uczta w najlepszym towarzystwie. Orgia dla zmysłów – w tym wypadku słuchu.

Hugh Laurie

Let Them Talk



Hugh Laurie to aktor kojarzony tak bardzo z pewnym popularnym serialem, że nawet ludzie stroniący od telewizji widzą w nim już tylko doktora Housa.

Laurie jednak od dawna muzykował. A to sam, a to w filmach, a to z grupą przyjaciół. Naturalną rzeczą stało się więc wydanie płyty.

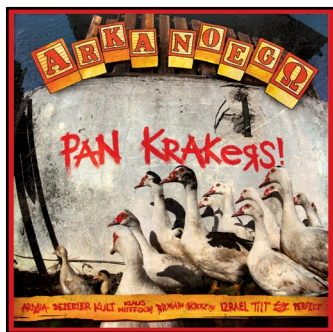
Muzycznie Laurie postawił na swój głos – nienajlepszy, ale charakterystyczny i z właściwą ekspresją, zespół rodem chyba z Nowego Orleanu oraz aranże zbliżone do Toma Waitsa, czy Bruce’a Springsteena z płyty *Seeger Session*. Płyty najlepiej słuchać w całości. Żwawsze melodie mieszają się z bardziej sentymentalnymi, ale wszystko przyprawione jest humorem – czy to w tekstach, czy w samych kompozycjach.

Jak dla mnie Laurie może z nagrywania płyt uczynić serial, czyli rytuał. Powiedzmy, żeby wypuszczał ze dwie na rok. A do tego przyjedzie z jakimś koncertem do Polski. W pierwszym rzędzie będą szalać.

Arka Noego

Pan Krakęs

★★★★★



Horda dzieci jakoś mnie pod żadnym względem nie kręci. Ale, że lubię cove-ry, bo to zawsze ciekawość człowieka pcha – co oni tam z tym oryginałem nawyprawiali? – po *Pana Krakęsa* sięgnąłem. I nie wiem, co mam o tej płycie myśleć, a czego nie myśleć.

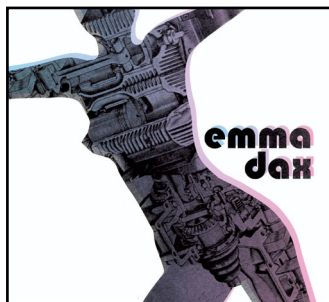
Kipiące energią dzieci to prawie punkowa ekipa. Taki w nich pazur, zadr i wrzask. Momentami zaskakująco dobra gitara, ale schowana w tle. Intrygujący saksofon w *Centrali*, piosenki Brygady Kryzys. Za repertuar robią stare polskie kawałki. Dzieci więc rażno skandują słowa Tiltu, Kultu, Dezertera, Izraela, Brygady Kryzys, Klausa Mitffocha, Oddziału Zamkniętego, Perfectu i L4 (kiedyś wielgachny przebój pt. *Super para*). Jest też jeden utwór własny, *Najlepszy na świecie* – o ojcu – i do niego klip video na płycie.

Z drugiej strony, frapujące są stare panczurskie kawałki w takich niecodziennych aranżacjach. No i porównując teksty, kiedyś pisało się piosenki o czymś, w jakiejś sprawie albo chociaż oryginalnie. Dziś... Wiadomo, cytuję: „I choćbyś upadł na kolana, I choćbyś błagał, To już nie działa na mnie, żegnaj, Twoja strata”.

Emma Dax

Emma Dax I

★★★★★



Trochę rap, trochę freestyle, trochę drum’n’bass, a trochę powrót do dyskotekowych brzmień z lat 80. Jak się okazuje, nadal tak można. Muzyka oparta jest więc na rytmie generowanym przez różne elektroniczne „szafy grające”,

a pośród tych beatów koleżka Duże Pe. I nawet momentami sobie nieźle poczyną. Oczywiście nie unika banału: „radośnie zapomnijmy choć na moment, jak blisko położone są początek i koniec” albo bzdury: „jeśli tak jest, póki czuję twą obecność. Nie chcę się budzić przez wieczność”. Jednak pojawia się od czasu do czasu naprawdę fajny tekst: „otwórz swą głowę i złap świeży powiew”, „kolejny raz ukradł mi cię dzień, dlatego gwałcę cię przez sen”. Może wyrwane z kontekstu nie wydaje się to tak dobre, ale w otoczeniu dziwnie oldskulowych dźwięków oraz z właściwą gatunkowi narracją przemawia.

Lekkostrawne i wcale nie głupie.

The Baseballs

Strings 'N' Strips

♦♦♦♦♦♦



Przebiegli niemieccy producenci zrobili tak: wzięli trzech nieznanych chłopaków, wystylizowali ich na lata 60. Nauczyli śpiewać oraz tańczyć. Upodobnili trochę do Elvisa, ale bez narzucającej się przesady. Kazali trochę tańczyć, ale też bez fajerwerków. Do tego niechże mają trochę dystansu do siebie.

The Baseballs wykonuje przede wszystkim covery. Stare szlagiery. Nowe szlagiery. Same szlagiery. Aranże rozpisane na kontrabas, trzy głosy i inne podstawowe instrumentarium, bez żadnych wydumisk. Panowie mają śpiewać tak, jakby cały czas się uśmiechali. Uśmiechali do dziewcząt licznie zapewne zgromadzonych pod sceną w klubie.

Ta pozytywna atmosfera udziela się również mnie za każdym razem, kiedy sięgam po płyty The Baseballs (tę lub debiutancką *Strike!*). Pozytywny nastrój wzbudzają udane covery (*Paparazzi*, *Candy Shop*), melodyjne refreny oraz, za przeproszeniem, zaj*bista produkcja. Kontrabas, fortepian, te głosy, banalne pstrykanie palcami są tak nagrane, że mucha na kolumnach nie siada.

Proponuję, by polski przemysł muzyczny wziął sobie The Baseballs jako przykład. Przykład pod tytułem „jak zrobić pop w taki sposób, by słuchacz nie czuł przy każdym utworze, że robią z niego debila”.

Dream Theater

A Dramatic Turn Of Events

♦♦♦♦♦♦♦♦



Po odejściu Mike'a Portnoy'a wszyscy myśleli pewnie: ojej, co to będzie!?

Dream Theater się skończy albo już się skończył! To jednak zbyt profesjonalna ekipa, by sobie pozwolić na takie ekscesy. Bez kłopotu znaleźli nowego perkusistę, nagrali dobrą płytę i swoim zwyczajem ruszyli w trasę.

Ani na sekundę, mimo jak zwykle kompozycji długich i pogmatwanych, panowie nie spuszczaają z tonu. W porównaniu z poprzednimi płytami więcej na *Dramatic...* melodii, powietrza i progresji w stosunku do metalowych wycieczek. A te przecież zdarzyły się ekipie Dream Theater choćby na *Train Of Thought*. Tradycyjnie jest czego słuchać. W sensie ilościowym i jakościowym.

Opowiedzieć o muzyce Dream Theater w trzech akapitach nie sposób. Potrzeba minimum trzy miesiące, by jako tako zapoznać się z ich najnowszą, wyborną propozycją.

Wynton Marsalis & Eric Clapton

Play The Blues



Gdyby nie wyszło SuperHeavy, byłaby to moja płyta roku. Clapton i Marsalis, mimo że leciwi, wykrzesali z siebie dość ikry i dali koncert tak doskonały, że można gryźć ściany z żalu, że nie wystąpili gdzieś nad Wisłą.

Koncert zorganizowano na bogato. Skład to prawie orkiestra. Clapton, Marsalis oraz liczni goście, wśród nich Taj Mahal. Jeden dmie, drugi szarpie struny, grają leciwy repertuar. Dęciaki dodają uroku lub mocy każdemu z kawałków. Normalnie jakby czas się cofnął i koncert odbył gdzieś w USA, w latach powiedzmy 30. A jakimi solówkami panowie to wszystko przystrajają! Ech, płyta nie chce wyjść z odtwarzacza... Clapton sięgnął nawet po *Layę*. Ograny do szczętu kawałek zyskał po raz kolejny. Patti Boyd pewnie Eric już nie kocha, ale jak słuchała, to się miała prawo wzruszyć.

To musiał być niezwykle wieczór. Dobrze, że choć płyta jest.

Steven Wilson

Grace For Drowning



Jak nie nagrywa z macierzystą grupą, to nagrywa coś solo. Jak nie nagrywa czegoś solowego, to coś miksuje, wznowia albo produkuje innych (nawet King Crimson, a to najlepsza rekomendacja). Jak nie pracuje w studiu – wyrusza w trasę koncertową. Czy przy takiej

ilości pracy nie nastąpi w końcu spadek jakości? Nie można 12 miesięcy w roku być twórczym i kreatywnym na najwyższym poziomie...

Jednak w przypadku tej płyty nie ma mowy o jakimkolwiek odpuszczaniu sobie. Słuchając tych dwóch CD mam wrażenie, że Steven przygotowywał je od lat. Wszystko jest doskonale przemyślane. Kompozycje, aranże, długość utworów, dramaturgia, brzmienie zostało podporządkowane temu, by zaangażować słuchacza w historię, którą muzyk opowiada. Z płyty przede wszystkim przemawia sentyment, smutek, nostalgia i zaduma. Nie od dziś Wilson ulega takim nastrojom, to chyba jego rys osobowości – melancholia. Znakomicie potrafi ubrać ją w muzykę.

Płytę należy włączyć i się zasłuchać. Jeśli kompozytor ma na celu wprowadzić nas w stan swojego ducha, to Wilsonowi powinno się to udać. Wciągnie Was w tę opowieść i uwiedzie.

reklama



Grouplove

Never Trust A Happy Song



Miłość grupowa? Czemu nie... Kiedyś byłem na hipnotycznym seansie i okazało się, że moim skrytym marzeniem jest uczestnictwo w rzymskiej orgii. Co za bezceństwo! Zupełnie niechrześcijańskie. Porzućmy to i oddajmy się orgii dźwięków, nie zapominając, by nigdy nie ufać radosnym piosenkom.

Początkowo sądziłem, że to Angole, Brytole czy inni podwładni Królowej (God Save!), ale nie – to Amerykanie. A płyta to ich debiut. Oby więcej tak dojrzałych debiutów. W tych Stanach to tylu zdolnych ludzi... Grouplove to rock, ale bardziej brytyjski niż amerykański, czy jakiś hard. Na swój własny użytek nazwałem ich muzykę histerią o pozytywnym przekazie. Bardzo to wszystko jest wykrzyczane, rozhałasowane i entuzjastyczne. W tym kontekście tytuł płyty jest dość przewrotny. Kilka piosenek typuję jako ewentualne przeboje, a jak się okazuje, niektóre kawałki Grouplove okazały się tak chwytliwe, że sprzedały się do spotów reklamowych.

Opracował: Dawid Brykalski

WŁADYSŁAW KOMENDAREK

rozmowa

Zbyt często nazywany polskim Rickiem Wackemanem (Yes), Tonym Banksem (Genesis) lub Keithem Emersonem (E.L.P.), bądź zupełnie niepotrzebnie porównywany do innych muzyków spod znaku tzw. el muzyki. **Władysław Komendarek** urodził się i mieszka w Sochaczewie. Przebywa jednak zapewne więcej w trasie niż w mieście rodzinnym. Jako instrumentalista i kompozytor wypracował własny styl, który wymyka się jednoznacznej klasyfikacji. W muzyce Komendarka można odnaleźć echa muzyki rockowej, a nawet hardrockowej, klasycznej, jazzowej, etnicznej oraz eksperymentalnej.

Zaczynał karierę w latach siedemdziesiątych z **Grupą Dominika**, następnie występował i nagrywał z **Exodusem**, by od połowy lat osiemdziesiątych z sukcesem rozpocząć karierę solową. A ta trwa nieprzerwanie do dziś.

Dawid Brykałski: *Lubi pan literaturę science-fiction? Pytam, bo mam wrażenie, może mylnie, że odnajduję jakieś jej echa w pańskiej muzyce...*

Władysław Komendarek: Ogólnie nie przepadam za literaturą science-fiction. Czasami zdarzają się jakieś bajki układane do moich dźwięków. Piszę je sam i jest to zazwyczaj fikcja. Najbardziej mnie interesują fakty, które są związane z wydarzeniami w przestrzeni kosmicznej. To wszystko jest bardzo ciekawe...

*Nie ulegam
żadnej manipulacji*

Jakie wydarzenia ma pan na myśli?

Mam na myśli eksperymenty armii USA na wodach oceanu oraz wypadki pojazdów kosmicznych z innych planet.

Wykształcenie muzyczne pomaga czy przeszkadza w twórczości, komponowaniu?



Jedno jest pewne, wykształcenie pomaga tylko w manualnym, żywym graniu na scenie. Wtedy to jest duży plus. Będąc w Chorwacji i Rumunii, gdzie grałem z artystami z różnych stron świata, to jeśli ktoś nie potrafił manualnie grać na żywo, tylko wspierał się laptopem, to odpadał. Ci, co grali na żywo, bardzo szybko szli do przodu. I to jest sprawiedliwe, że tworząc muzykę na żywo i grając z artystami, których pierwszy raz się widzi, można uzyskać taki efekt. Jam session wyszedł całkiem udany i dało też radę nagrać niezły materiał, pamiętając przy tym o skuteczności różnych artystów.

Ujemna strona wykształcenia jest taka, że artysta nasiąka manierami przekazywanymi przez wykładowców. Tak nie można! To nie do pomyślenia, żebyś tak to zagrał! To nieprawidłowo,

tamto nieharmonicznie, zagrane źle, czyli nie do przyjęcia... I tak dalej. Na przykład, kiedy polska orkiestra ma zagrać bluesa ze sławnym skrzypkiem, to ma problem, bo nie wie, jak do tego podejść.

Trudno się grało, a raczej improwizowało z osobami, których pan kompletnie nie znał, występując z nimi na jednej scenie?

Powiem krótko. Wyciągnąłem z tych koncertów wnioski, że owszem, dużą sztuką jest zrobić w zaciszu domowym na laptopie ciekawy materiał, ale jeszcze większą sztuką jest zagrać na żywo z artystami, których się wcale nie znało wcześniej, i jeszcze przy tym pokazać swoje możliwości i zdolności manualne. Wszystko polegało na tym, że jeśli artyści się dobrze dobiorą, to potrafią, bez przygotowania, stworzyć naprawdę

wartościowy materiał. Wszystko było rejestrowane na systemie mac, więc mam nadzieję, że zostanie wydane.

Czym dla pana jest muzyka? Czy kieruje się pan wobec niej jakąś własną, wewnętrzną, osobistą filozofią?

Jeśli chodzi o tworzenie mojej muzyki, to głównie są to moje własne buntury na rzeczywistość, tę, która mnie otacza. Człowiek jako gatunek, jako istota rozumna jest bardzo podatny na manipulację i to w każdej dziedzinie. Jeśli człowiek nie byłby podatny na manipulację, nie akceptował jej, to ludzkość o wiele szybciej by się rozwijała technicznie. Rozwój naszej cywilizacji osiągnąłby w krótszym czasie szczyty w każdej dziedzinie.

Nie sądzi pan, że w tej chwili mamy nie rozwój, ale prawdziwą rewolucję cyfrową?

Tak i bardzo dobrze, ale nie można dopuścić do tego, by Windows był monopolistą. To tylko zwalnia rozwój technologii.

Co pan sądzi o współczesnej muzyce? Jest wiele dobrego? Stacza się? Jaka będzie przyszłość muzyki „rozrywkowej”?

Dużą krzywdę muzyce robią globalistyczne media, które nie pokazują całej gamy twórców. Promowani są tylko wybrani i dzięki takiej polityce inni artyści się załamują i nie rozwijają się. Podziemie nawet w naszym kraju jest kilka razy silniejsze od medialnych wybrańców, typu Budka Suflera czy Doda, której nie trawię. Ja

wymiotuję, kiedy grają specjaliści od tworzenia hymnów.

Na jakiej muzyce się pan wychował? Czy wciąż pan do niej wraca? Co pana ukształtowało jako muzyka na różnych etapach życia i twórczości?

Kiedy powstał zespół The Beatles, to wywarł na mnie takie wrażenie, że właśnie wtedy na poważnie zainteresowałem się muzyką. Podszedłem do tematu poważnie, ale w tamtych latach miałem wiele różnych zainteresowań. Dziś myślę, że na moją muzykę wywarły duży wpływ zespoły z tamtego okresu. Rolling Stones, Pink Floyd, wczesny Genesis... Interesowałem się też różnymi odmianami jazzu.

A jeśli chodzi o powroty, to lubię mieszać w swoich utworach dawną muzykę, czyli podejście do komponowania z bardzo współczesnymi brzmieniami, np.: drum bass lub trans. Niektórzy mi mówią: jak tak można?! A moim zdaniem, jak się chce, to można. Tylko trzeba być w tym zdecydowanym

Dużą krzywdę muzyce robią globalistyczne media, które nie pokazują całej gamy twórców. Podziemie nawet w naszym kraju jest kilka razy silniejsze od medialnych wybrańców.

i odważnym. Nie sugerować się tym, co kto mówi czy myśli. Po prostu ja jestem tak skonstruowany, że nie ulegam żadnej manipulacji. Co mam robić... Jak mam robić... I dla kogo mam tworzyć... Tworzę to, w danej chwili,

na co mam ochotę. Bo jestem wolnym w tym, co robię.

W jednym z wywiadów znalazłem taką pańską wypowiedź: (...) bo ja mam korzenie metalowe. Zechciałby pan tę myśl rozwinąć?

Lubię bardzo muzykę metalową i ciężkie granie. Ale czasami wracam do łżejszej, mieszając frazami w jakiś utwór. Robię to po to, żeby wytworzyć odpowiedni klimat emocji i dramaturgii koncertu.

Może poprawię to, co powiedziałem, w jakimś innym wywiadzie... Może mam nie tyle korzenie metalowe, co progresywne... Bo przecież w takiej grupie kiedyś grałem.

Jednak na swoich koncertach gram czasem jeszcze ostrzej.

Zgodziłby się pan, by któraś z pańskich kompozycji została wykorzystana w reklamie np.: margaryny albo proszku do prania? Może puszczana non stop



Władysław Komendarek
Przestrzenie przeszłości

w hotelowej windzie... Oczywiście raczej te łagodniejsze kawałki... A może już coś takiego miało miejsce?

Jeśli już poruszamy ten temat, to czasami kiedyś tam były wykorzystywane moje pierwsze kawałki. Ale to wszystko było za moją zgodą lub nie.

Nie znoszę, jak wszystko jest robione bez mojej zgody i uważam, że nawet o samplowanie próbek z mojego materiału powinni się mnie pytać producenci. Twórca musi o tym wiedzieć!

Producent od hip hopu, liczący się na rynku kanadyjskim, pyta się o taką zgodę, żeby coś zsamplować mojego i to jest kultura, jakiej oczekuję. Cokolwiek się robi z danym utworem, to najpierw trzeba się spytać, a potem negocjować dalej.

Wydana przez MMP składanka Przestrzenie przeszłości to przekrój przez pańską twórczość. Mimo że to blisko trzy godziny muzyki, to z pewnością musiał pan sporo odrzucić. Ciekawi mnie, jakie utwory odpadły...

Jeśli chodzi o *Przestrzenie przeszłości* to miałem trudne zadanie... Mimo to dokonałem wyboru na ten podwójny krążek. Ale nie ukrywam, że były problemy. Do ostatniej chwili przed zdaniem materiału nie wiedziałem, co wybiorę...

Czy może pan sobie wyobrazić siebie, wykonującego inny „zawód” niż zawód muzyka?

Nie wyobrażam sobie innego zawodu.

Rozmawiał: Dawid Brykański
Zdjęcie: Paweł Stelmach

POSTMODERNIZM

nie umiera nigdy

Najnowsza płyta Coldplay to zestaw oburzająco dobrych piosenek. Począwszy od **Hurts Like Heaven**, a na **Up With The Birds** skończywszy. Zawsze byli epigonami U2 i to słyszać również na **Mylo...** Jest jednak ta muzyczna mimikra tak przemyślna, że aż przestała mnie razić.

Program płyty to niespełna 50 minut, upchnięto aż 14 utworów. Trzy z nich to jedynie krótkie instrumentalne impresje. **Brian Eno** nie występuje już jako producent, lecz w roli współkompozytora. To za jego sprawą w tej muzyce tyle przestrzeni, powietrza i oddechu. I mimo że dźwięków jest tak wiele, jest w tej muzyce odprężający luz.

Coldplay w jednym utworze potrafi zawrzeć tyle pomysłów, że innym zespołom wystarczyłoby ich na całą płytę. Jest gęsto. Dzięki temu przyjemność

z odkrywania *Mylo...* można sobie przedłużyć o każde kolejne przesłuchanie płyty. Lecz z drugiej strony, te melodie, te refreny, te tanie chwytaki wokalne... Ta banalność, niestety, trochę zraża. Mogą się panowie rękoma, nogami i instrumentami zapierać, że nic im do **U2**. Aranże, patenty, harmonie, skromne solówki, brzmienie są momentami takie, że bez wstydu mogłyby się znaleźć na *How To Dismantle An Atomic Bomb* czy *No Line On Horizon* Irlandczyków.

W wywiadach lider Coldplay twierdzi, że inspirował się m.in. filmem **Droga**. Nie wiem, na czym ta inspiracja miała polegać. Znam i film, i książkę. To ponura, postapokaliptyczna historia. Raczej mało w niej nadziei, bo jak odnaleźć nadzieję, kiedy ludzie z głodu zjadają innych ludzi? A przy piosenkach z *Mylo...* chce się ponucić, pośpiewać, a może nawet potaćzyć – co kto umie. Jest ładnie.

Stawiam, że **Paradise** będzie, jeśli już nie jest, koncertowym hitem. Cały stadion w odpowiednim momencie zaśpiewa „ooooo ooooo ooooo!”. Pojawiający się w **Up with The Birds** cytat z Leonarda Cohena to ukłon w stronę bardziej intelektualnej publiczności, ale już duet (**Princess Of China**) z Rihanną to... kuriozum? Gdzież tam. To nic niezwykłego,



Coldplay
MYLO XYLOTO

Bono i spółka też nagrali w swoim czasie **One** z jakąś inną popową, czarnoskórą grubaską. Coldplay, a może bardziej ich menadżerowie kombinują bardzo rynkowo i próbują dogodzić każdemu.

Osiągnięto kompromis między tym, by słuchało się w miłym emocjonalnym stanie, a dopieszczoną realizatorską robotą. Polecam wsłuchać się na dobrym sprzęcie – żadne brzęczenie z komputera nie wchodzi w grę! Nawet jeśli w piosence jest tylko głos i akustyczna gitara, w tle pojawia się sporo „ukrytych” dźwięków. Karkołomne to wszystko, ale

tak właśnie odczytuję intencję Coldplay – nagramy płytę, dzięki której kupi nas jeszcze więcej osób. I fanatycy jakości dźwięków, i fani takiego kręcącego tyłkiem baracha jak Rihanna.

Może to **Mylo Xyloto** wyznacza nowy kierunek dla rocka XXI wieku? A może Coldplay to tylko popowy zespół, który udaje, że ma ambicje? Wyszła im płyta bardziej postmodernistyczna niż sami przypuszczali? Dobre płyty sprawdzają się po latach, dajmy czas i *Mylo*... Dziś całości słucha się przyjemnie.

Dawid Brykalski

QUEEN *symfonicznie*

Alla Vienna. Vivid Singers

Łódź, 30.11.2011 r.

Tuż przed koncertem Queen Symfonicznie zadzwonił do mnie znajomy i spytał czy w Wytwórni będzie ktoś z oryginalnego składu Queen. Naiwne to w sumie pytanie pozostawiłem dyplomatycznie bez odpowiedzi.

Pamiętam natomiast, że pomyślałem wtedy, że gdyby rzeczywiście pojawił się Brian May to by impreza odbyła się nie w Wytwórni, lecz w Atlas Arenie. I pewnie by miejsc zabrakło. Lecz kiedy wchodziłem już do klubu okazało się, że na Queen Symfonicznie czeka już komplet widzów, a przy bramce ktoś mnie nachalnie zaczepiał: czy czasem nie zrezygnuję z akredytacji na jego rzecz?

Łódzcy filharmonicy połączywszy siły z dziewiętnastoosobowym chórem

sprawili fanom Queen prawdziwe święto. W pierwszej części – symfonicznej było podniosłe, a momentami wręcz patetyczne. W przerwach niestety pojawiał się konferansjer, który doskonale nadawał się do roli... weselnego wodzireja. Raz po raz z publiczności padało: „idź już”, niestety pan miał dzień na przemowę. Druga część koncertu została zaplanowana jako bardziej rockowa. Swobodniejsze stroje, więcej światła, żywsze utwory (m.in.: *Radio GaGa*), gitara basowa zamiast kontrabas. Więcej emocji. W finale wystąpił również aktor ucharakteryzowany na Freddie’ego Mercurego. O dziwo, udanie poradził sobie z partiami wokalnymi. Ale jak mogło być inaczej, skoro wtórowała mu cała sala?

Już po koncercie dowiedziałem się, że pomysłodawca i kontrabasista Jan Niedźwiecki jest wielkim fanem Queen i stąd pomysł na taki występ. Zatem to fani zgotowali innym fanom taką niespodziankę!

Dawid Brykalski

MAFIA II

soundtrack

Można mieć pretensje do tej gry – że bohaterowie nie są przekonujący, że fabuła jakoś się nie klei. Jednak nie można twórcom odmówić naprawdę imponującej kreacji świata, realiów Ameryki lat 40. i 50. Jednym z elementów odpowiedzialnych za klimat minionych czasów jest muzyka – oryginalne i fascynujące dźwięki tamtego okresu.

Dzisiejsi producenci dźwięku dwoją się i troją, aby efekty ich pracy brzmiały tak, jak niektóre z tych utworów. Również współcześni artyści nadal, bezpośrednio lub za pośrednictwem późniejszych twórców, czerpią garściami z tych kompozycji. Wreszcie my, odbiorcy, możemy odnaleźć w tej twórczości sprzed dekad wulkan energii oraz, o dziwo, zaskakującą świeżość!

Muzykę w grze słysząc w różnych „przypadkowych” miejscach, barach i sklepach, ale przede wszystkim w trakcie prowadzenia świetnie odtworzonych dawnych aut. Będąc kierowcą, możemy wybierać pomiędzy trzema radiostacja-

mi, nadającymi w mieście Empire Bay: **Delta Radio**, **Empire Classic** oraz **Empire Central**, a jako że akcja dzieje się na przestrzeni dwóch dekad, to wszystkie stacje dysponują zestawem utworów odpowiednich dla każdej z nich. W sumie są to **122 starannie wybrane utwory**, tworzące razem ponad 5 godzin muzycznego dokumentu epoki.

Na następnej stronie krótki przegląd spotykanych w grze utworów, do których polecam w jakiś sposób dotrzeć, aby samemu ocenić ich atrakcyjność...

Tadeusz Bisewski



2 *tuziny* *bardzo* *starych* **HITÓW**

The Andrews Sisters

Boogie Woogie Bugle Boy

Siostry Andrews sprzedały swego czasu 75 milionów kopii swoich nagrań – to trzy razy więcej niż dotychczas sprzedała Lady Gaga – a ten utwór był ich największym hitem.



The Andrews Sisters

Bill Halley & His Comets

Rock Around The Clock

...czyli 24 Hour Party People kilku pokoleń wstecz – no, może zmieniło się kilka szczegółów...

Bo Diddley

Bo Diddley

Pierwszy singiel oraz jeden z najgłośniejszych rhythm'n'bluesowych hitów nie tylko tego songwritera, lecz generalnie... wszechczasów.

Charles Holley (Buddy Holly)

Rave On

To wprawdzie cover, lecz wykonany z odpowiednią dla siebie żywiołowością. Co ciekawe, po ten utwór sięgało później jeszcze wielu artystów, m.in. Bruce Springsteen, Status Quo oraz The Raveonettes.



Buddy Holly

Charles (Chuck) Berry

No Particular Place To Go

Człowiek legenda i jego wielki przebój. Berry, urodzony w 1926 roku, okazjonalnie gra do dzisiaj, a jego ostatnia regularna trasa koncertowa odbyła się w roku 2008 (zagrał wówczas również w Polsce).

The Champs

Tequilla

Ten utwór to stały bywalec wszystkich kompilacji pt. *The Best of 60's*, a to chyba za sprawą „przekonującego” tekstu utworu, sprowadzającego się do radośnego okrzyku „tequilla!”.

The Chordettes

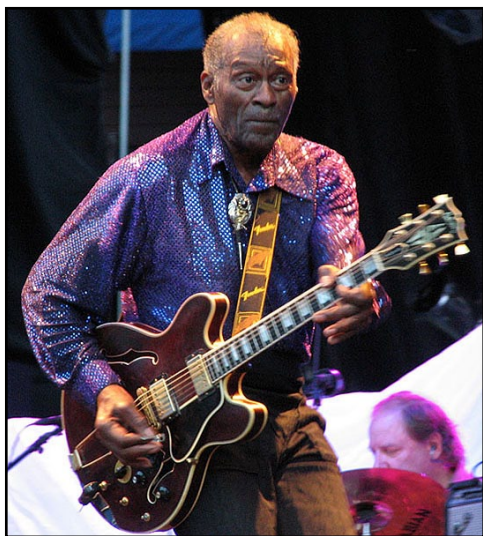
Mr. Sandman

Sandman z utworu nie zawsze był mężczyzną, lecz jego płeć zmieniała się w zależności od płci wykonawcy. Działo się tak ze względu na zdanie „Bring me a dream”, które jest dwuznaczne... Po latach powstała również wersja bożonarodzeniowa pt. *Mr. Santa*, w której wyraz „dream” nareszcie kojarzył się jednoznacznie z prezentami.

The Coasters

One Kiss Led to Another

Podręcznikowy przykład gatunku o nazwie doo wop, będący wokalną odmianą rhythm’n’bluesa. Liczba instrumentów w utworze jest minimalna, lecz dźwięków nie brakuje!



Chuck Berry

The Coasters

Framed

Tutaj już instrumentów znacznie więcej, ale przede wszystkim słyhać charakterystyczny motyw gitarowy, który wydaje się znany i oklepany... bo najwidoczniej był powtarzany w wielu późniejszych utworach różnych twórców.

Dinah Shore

Buttons and Bows

Ta piosenka powoduje, że w mojej głowie odruchowo pojawia się Kimya Dawson, czyli współczesna „niezależna” songwriterka (znana głównie z soundtracku do *Juno*). Jak bym się nie starał, nie mogę się pozbyć tego skojarzenia!

Dinah Shore and Buddy Clark

Baby, It's Cold Outside

Konceptowy utwór przywodzący na myśl stare musicale. Występująca

w nim parka droczy się o to, czy pan-
na powinna wracać do domu (ma na
to szereg argumentów), lecz uprzejmy
pan przekonuje ją, że nie powinna wy-
chodzić na mróz...

Duane Eddy

Movin' N' Groovin

Jeden z popisowych utworów świet-
nego gitarzysty. Mimo, że w całości
instrumentalny, przetrwał aż 72 tygo-
dnie na amerykańskim billboardzie.

Franklin Lyman (The Teenagers)

Why Do Fools Fall in Love

Kolejny przebój z gatunku doo wop,
lecz tym razem wyraźnie rock'n'rollowy.
Ten intrygujący dziewczęcy głos należy
do... trzynastoletniego chłopca – to tzw.
boy soprano.

The Gaylords

Chow Mein

Dziwny tytuł oznacza chińskie danie
ze smażonym makaronem, a utwór
jest skargą na Chińczyka, który na nie-
szczęście swoich klientów postanawia
zamknąć swój bar! Przy okazji Gaylords
błyskotliwie i luźno nawiązują do chiń-
skiej muzyki tradycyjnej. Jak dla mnie
to perełka w całym zestawieniu!

Harold Singer

Rock Around The Clock

Drugi utwór o takim tytule na tej liście.
Najwyraźniej idea była bliska wielu arty-
stom tamtego okresu. Tylko tym razem
słyszać więcej bluesa niż rock'n'rolla.

Jalacy (Screamin' Jay) Hawkins

I Put a Spell on You

Potężny wokół i teatralny performance
na scenie to najbardziej charaktery-
styczne atuty tego artysty. No i przy-
domek „Krzyczący Jay” jak najbardziej
odpowiedni.

Jean (Django) Reinhardt

Belleville

To utwór najlepiej znany fanom gier
z cyklu *Mafia*, bo obecny w obu jej czę-
ściach i to w znaczących momentach.
Dla niegrających raczej anonimowy,
lecz tym bardziej powinni to nadrobić.

John Lee Hooker

Boom Boom

Ten utwór z kolei znają wszyscy – cho-
ciażby z reklamy jeansów. Generalnie
szlagier wszechczasów – „must hear”.



Jean (Django) Reinhardt

Muddy Waters

Got My Mojo Working

19

Jeden z najczęściej coverowanych utworów w historii muzyki rozrywkowej. Z kolei sam Waters był jednym z dwóch (obok B.B. Kinga) pionierów rockowej odmiany bluesa.

Dean Martin

Let It Snow

20

Piosenka do dzisiaj puszczana w radiu i telewizji, szczególnie w okresie przedświątecznym. Doczekała się wielu adaptacji, m.in. w wykonaniu Sinatry czy Kylie Minogue, lecz wersja Martina jest chyba najpopularniejsza.

Roy Hamilton

Don't Let Go

21

Artysta znany głównie z *Unchained Melody* (grane później m.in. przez U2) lub swojej wersji *You'll Never Walk Alone*, czyli chyba najbardziej znanego hymnu drużyny piłkarskiej (Liverpool FC). Ten utwór jest trochę inny, żywszy, pogodniejszy – świetny na początek przygody z historią muzyki rozrywkowej ery przedbeatlesowskiej.

Richard Penniman (Little Richard)

Long Tall Sally

22

Wizjoner lub „architekt” muzyki (jak sam się określał), pionier rock'n'rolla i największa inspiracja Elvisa Presleya, który w swoim repertuarze miał kilka jego utworów, z *Long Tall Sally* na czele.

Peggy Lee

Why Don't You Do Right

23

Prohibicja alkoholowa i powojenny kryzys ekonomiczny z perspektywy partnerki upadłego biznesmena – typowy obrazek epoki.

Ritchie Valens

Come On, Let's Go

24

Wszyscy znają *Donne* oraz *La Bambę*, lecz ten artysta posiadał w swoim repertuarze wiele innych świetnych utworów. Zresztą Ritchiego Vallensa śmiało można nazwać jednym z najbardziej utalentowanych kompozytorów muzyki rozrywkowej, jaki kiedykolwiek tworzył.

Opracował: *Tadeusz Bisewski*

ZAPRENUMERUJ
raz na zawsze
za 11.07 zł

*cena za 9 numerów
kolejne już zawsze gratis!*

kliknij!

RAY WILSON

Muzyka jest dla mnie niczym powietrze

Bardzo lubię płytę **Calling All Stations**, którą Ray nagrał z Genesis. Z solowych dokonań Wilsona najchętniej wracam do albumu **Propaganda Man**, pełnego refleksyjnych, czasem wręcz smutnych piosenek. Wilson proponuje rocka dla ludzi dojrzałych, osłuchanych, ale wciąż otwartych na nowe dźwięki.

Dawid Brykański: *Przypomnij mi proszę i jak długo mieszkasz już w Poznaniu?*

Ray Wilson: Trzy... Trzy i pół roku. Chyba wystarczy, by trochę was poznać...

Zadomowiłeś się już na tyle, by swobodnie rozmawiać po polsku?

Nie, po polsku rozmawiam tylko w domu, z Gosią. Ale za to mój brat, Steve, on zna nawet kilka niezbyt ładnych wyrazów... *(śmiech)*

Czy Polska wciąż jest dla ciebie inspirowająca?

Tak, oczywiście. I jest z tym coraz lepiej, po prostu coraz lepiej mi się w Polsce żyje. Widzę, że jesteście dużo szczęśliwsi. Kraj idzie do przodu, rozwija się. Ale, co niezwykle ważne, zachowuje swoją tożsamość. Na tle innych narodów Europy Polska się wyróżnia. Dlatego nie chciałbym się od was wyprowadzać. Polska ma swój bardzo wyraźny charakter i bardzo mi on odpowiada. Myślę,

że to jest istotne. Polacy są wyjątkowi. Oby pozostało tak jak najdłużej.

Właśnie ukazał się twój box, w środku aż cztery płyty. Zatyłkowałaś go Genesis versus Stiltskin. Dlaczego "versus"!

Chciałem, by w tym wydawnictwie znalazły się cztery płyty. Dokładnie trzy kompakty i bonusowe DVD. Na dwóch CD jest zarejestrowany koncert z Po-



Ray Wilson

znania, a na trzeciej płycie nowy album Stiltskin, czyli grupy, z którą zacząłem karierę na poważnie...

Najpierw nagraliśmy koncert w Poznaniu, chcieliśmy go wydać jako podwójny album koncertowy. Potem zarejestrowaliśmy piosenki na *Unfulfillment*... Zastanawiałem się nad tym i doszedłem do wniosku, że to dobry pomysł zestawić ten materiał razem. Dzięki takiemu zabiegowi fani Genesis mogą poznać Stiltskin i odwrotnie. Może fani Stiltskin sięgną po płyty Genesis? Myślę, że to ma sens.

A dlaczego „versus”? Czasem myślę, że jest trochę walki, bitwy między jedną grupą a drugą. Oczywiście, to tylko moje prywatne przemyślenia. Nie mam nic przeciwko Mike’owi Rutherfordowi czy Tony’emu Banksowi. Więc to taki mój wewnętrzny, artystyczny pojedynek między Genesis a Stiltskin.

Czyli poznajemy dwa oblicza Raya Wilsona?

Czasem właśnie tak to wygląda. Dlatego box *Genesis versus Stiltskin* pokazuje moje dwie twarze. Dwie strony mojej pracy i kariery.

Oba oblicza są dla mnie ważne i dobre. Dzięki pracy nad przearanżowaniem utworów Genesis rozwijam się. Musieliśmy przecież zmienić wersje piosenek, które są powszechnie znane. Do tego napisaliśmy całkiem nowe kawałki na nową, inną płytę. Dlatego uważam, że Ray, Genesis i Stiltskin jako jedno wydawnictwo to dobry pomysł.

I jeszcze jedno, ostatnia sprawa. Może to drobnostka, ale myślę, że to ważne. Cena za ten czteropłytowy box będzie taka, jakby to była jedna płyta. Mam nadzieję, że fani to docenią.

Czy to już koniec projektu Genesis Classic? Płyta koncertowa jest pewnego rodzaju podsumowaniem^a

Nie, nie! Ależ skąd. To nie jest koniec tego projektu. On się cały czas rozwija i ewoluuje. Na płycie znalazł się ostatni koncert z ubiegłorocznej trasy. Zagraliśmy go w Poznaniu tuż przed Bożym Narodzeniem. Oceniam, że zagraliśmy bardzo dobrze, ponieważ byliśmy świetnie zgrani po całej trasie, do tego miejsce też było doskonałe.

Tak więc to w żadnym wypadku nie koniec. A jeśli już, to raczej koniec rozdziału pierwszego. Koncerty Genesis Classic wciąż będą się zmieniać.

Rzeczywiście wszystkie piosenki na nową płytę Stiltskin Unfulfillment są nowe, czy wyciągnąłeś coś z archiwum?

Tak, wszystkie dwanaście utworów to zupełnie nowe kompozycje.

Co ważnego dla ciebie wydarzyło się 14 marca 1962 roku?

Ta piosenka opowiada o dniu, w którym moja matka spotkała mojego ojca. Data jest oczywiście przybliżona, prawdopodobna. To utwór o relacji między moim rodzicami. Rozwiedli się, kiedy byłem dużo młodszy, miałem ledwie osiem lat... Wszyscy żyjemy teraz osobno, ale to nie jest jakiś wielki problem...

Więc *14th march 1962* to utwór, to opowieść o mojej młodości. Słowa mówią o tym, jak ja i mój brat przyszliśmy na świat i o tym, jak ważna jest dla nas matka. Ile dla nas zrobiła, w sensie duchowym, emocjonalnym... każdym. To najbardziej osobista piosenka na płycie.

Płyłę otwiera kawałek Accidents Will Happen, o co chodzi z tymi wypadkami?

To „klasyczna” piosenka, traktująca o wypadkach samochodowych. Jakiś czas temu oglądałem film dokumentalny o realizacji albumu *Bat Out Of Hell* Meat Loafa. Jim Steinman, kompozytor wszystkich piosenek na tej płycie, opowiadał tam o znaczeniu tytułowej piosenki. Generalnie kawałek jest o tym, że chłopak, który jest buntownikiem, szaleje na swoim motocyklu. Oczywiście ma jakiś straszny wypadek. Steinman uważa, że to jest taki wzór dla innych piosenek o wypadkach samochodowych. W ten sposób definiuje „car-crash song”. W dodatku twierdził, że takie właśnie piosenki lubi.

Koncepcja na *Accidents Will Happen* jest więc zbliżona. Tekst opowiada o dziewczynie, która ma okropny wypadek i niestety ginie. To bardzo tragiczna piosenka, to jest mój car-crash song.

Muzyka, jaką grasz ze Stiltskin, jest określana jako grunge albo post-grunge. A ja ty sam ją definiujesz?

Kiedy zaczynałem ze Stiltskin, to było siedemnaście lat temu, więc teraz już można powiedzieć, że to post-grunge... Używaliśmy wtedy efektów gitarowych zbliżonych do tych, z jakich korzystała Nirvana. Wystarczy posłuchać wtedy popularnego *Inside*. Ale na całym albumie korzystamy z tak wielu brzmień i pomysłów. Są tam wpływy celtyckie, sięgamy po folkowe instrumenty, czasem ocieramy się o styl R.E.M. Po nas na przykład Cranberries użył takich samych

Po nas na przykład Cranberries użył takich samych wzmacniaczy jak my, by uzyskać podobne brzmienie w piosence Zombie^a

wzmacniaczy jak my, by uzyskać podobne brzmienie w piosence *Zombie*...

Myślę, że nie jesteśmy i nigdy nie byliśmy zespołem grunge. Ta muzyka wywodzi się z Seattle, a my może chcieliśmy się trochę upodobnić, to jednak od początku mieliśmy oryginalny pomysł na siebie, na nasze brzmienie i na to, co chcemy grać.

Jak sądzisz, jest szansa na płytę Calling All Stations part 2?

Nie jesteś jedynym zainteresowanym... Dziś rozmawiałem z moim gitarzystą i perkusistą, którzy byli ze mną na trasie, wspólnie powiedzieli: chodźmy zrobmy coś razem, może *Calling All Stations* na żywo? Oczywiście powiedziałem, że jasne, nie ma sprawy. Nie wiem, czy jest to możliwe, ale to byłoby naprawdę wspaniałe, znów współpracować z Mikiem i Tonym. Wręcz nie mogę się doczekać, myślę, że obaj czują wielki głód pisania nowych piosenek. Więc byłoby naprawdę świetnie znów nagrywać z Genesis, również z pozostałymi członkami grupy. Przez Genesis przewinęło się wiele wielkich gwiazd: Steve Hackett, Peter Gabriel, Phil Collins...

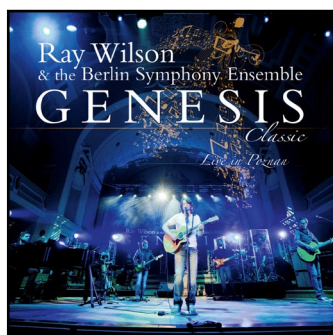
Z mojej strony mogę powiedzieć tyle, praca z nimi to byłoby dla mnie coś naprawdę niezwykłego. To prawdziwe legendy rocka, utalentowani artyści. Można się od nich wiele nauczyć.

Rozmawiał: Dawid Brykański

Scottish man in POZNAŃ

Ray Wilson & the Berlin Symphony Ensemble

*Genesis Classic
Live In Poznań*



Kiedy ktoś nagrywa płytę z orkiestrą od razu budzi mój niepokój. Skończyły się pomysły? Trzeba wypełnić kontraktowe zobowiązania? Postępujący uwiąd twórczy? Na szczęście nie dotyczy to Wilsona. Ze swoim projektem – występując z kwartetem smyczkowym – objechał Polskę oraz Europę wzdłuż i wszerz. Pierwszą płytę z tej trasy wydał już w ubiegłym roku, ale tym razem album to pełny zapis koncertu. Jak sam Wilson powiedział: „ten box to zamknięcie pewnego rozdziału”.

W jego wykonaniu i pomyśle, orkiestra to raczej przyprawa nadająca nowego, bardziej wyrafinowanego smaku i tak już znanej, wartościowej

„potrawie”. Na dwóch płytach – podział jest naturalny, bo żywy koncert również składa się z dwóch części – otrzymujemy pełny przekrój przez dyskografię **Genesis**, solowe projekty członków grupy (piosenki **Mike and The Mechanics**, **Phila Collinsa**, **Petera Gabriela**) oraz dokonania **Wilsona**. Nie brakuje tu progresywnych, starszych utworów Genesis – *The Lamb Lies Down On Broadway*, wielkich przebojów – *Jesus He Knows Me*, *I Can't Dance* czy *Land Of Confusion*. Zmiana aranży korzystnie wpłynęła większość utworów, a szczególnie na *Congo*. W *In The Air Tonight* Wilson występuje tylko z gitarą akustyczną, ale za to przekonarza się z publicznością. We wspomnianym, tu prawie skocznym *Jesus...* wokół przejmuje na chwilę brat Ray'a – Steve Wilson, a smyczki nadają nowej energii piosence.

Zabieg więc okazał się udany. Bez zadęcia wieloosobowych orkiestracji, które zawsze brzmią jakby odgrywały kolejny, monumentalny soundtrack do westernu, skromny smyczkowy kwartet wzbogaca występ tak, że całego koncertu słucha się z przyjemnością. Począwszy od zapowiedzi „**dobry wieczór Poznań**”, po ostatnie nuty potężnego *Inside*. Urozmaicenie okazało się kluczem do artystycznego sukcesu.

Stiltskin

Unfulfillment



Wilson rozpoczął prawdziwą karierę przebojem *Inside*, być może ktoś pamięta, bo piosenka została również użyta w reklamówce spodni Levi's. To było siedemnaście lat temu, inne czasy, inna muzyka. Jednak inspiracje Nirvaną i *Smells Like Teen Spirit* nadal łatwo wychwycić.

Na przestrzeni lat Stiltskin nagrał tylko trzy płyty: debiut ***Mind's Eye*** (1994), ***She*** (2007) oraz koncertówkę zatytułowaną po prostu ***Live*** (2007). Ciekawy więc prezent podarował swoim fanom Wilson dołączając do boxu zupełnie nowy materiał, **całkiem premierowy album**.

Ray chyba postanowił podbić Amerykę. Nie tylko za sprawą przebojowego *American Beauty*, to byłby trop zbyt oczywisty, raczej za sprawą brzmienia i samych kompozycji. Nazwać propozycję **Stiltskingrunge** lub **post-grunge** byłoby nadużyciem. Wilson opowiada muzyczne historie, które w założeniu

chyba miały owszem czerpać z tradycji, ale i szukać rockowego brzmienia nowej dekady. I jak na każdym solidnym rockowym „placku” tak i tu, obok ballad (lecz wcale nie zwiewnych!) znajdziemy utwory, które można nucić prowadząc auto lub wykończyć sąsiadów ich masywnym brzmieniem. Nie zapomniał również Wilson o audiofilach, za każdym odsłuchaniem płyty można odkryć nowe dźwięki, instrumenty z kolejnych planów zostały przebiegle poukrywane.

Wilson nie zamierzał sięgać po banały. Jego piosenki muszą być o czymś, rozpatrywać jakiś problem, opowiadać wcale nie wesołą historię. Przyjemność ze słuchania można więc jeszcze spotęgować wczytując się w zaangażowane teksty. I jak wspomina artysta, ***Unfulfillment*** to bardzo osobisty album. Można więc pokusić się, by szukać odniesień w biografii muzyka. Bo nawet tytuł albumu ma dla niego osobiste konotacje.

Kusząc się na podsumowanie całego boxu i chcąc mu przypisać jakieś gwiazdki, powiedzmy w skali od 1 do 5, bez wahania daję 5. Powodów jest wiele. O kilku wspominał sam Wilson w wywiadzie, o innych wspominałem w recenzjach. Jednak argument najważniejszy – Ray Wilson nagrał mnóstwo dobrej muzyki, i pod szyldem **Genesis Classic**, i ze **Stiltskin**. I mimo, że tej muzyki jest tak dużo – **blisko 4 godzin** – nie nudzi nawet przez minutę.

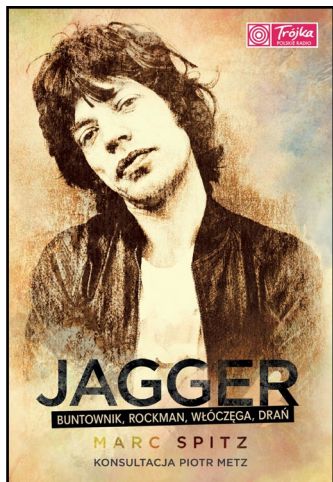
Dawid Brykański

Pirat **vs.** Karaiby

Mick to mózg, a Keith to serce. Czasem w grupie bierze górę rozsądek, czasem emocjonalne zrywy. Nad wszystkim czuwa jednak Mick – dość szybko załapał, że utrzyma kolegów w ryzach, jeśli będzie księgowym. Bezwzględny.

Biografię Jaggera napisał Marc Spitz. Nie wiem czemu, ale przez dłuższy czas sądziłem, że to kobieta. Pewnie nieco egzaltowany styl pisania o takim osądzie zaważył.

Spitz napisał klasyczną biografię. Zaczął od dzieciństwa, by potem zaprezentować wszystkie ważne i mniej ważne wydarzenia z życia wokalisty.



Marc Spitz

Mick Jagger – Buntownik, rockman, włóczęga, drań

Jagger podlega ocenie, ale jednak zbyt uprzejmej, a autor kusi się na pseudopsychologiczne analizy bohatera. Oczywiście, przy okazji zakreślił obraz pewnej epoki, epoki która przeminęła, a Stonesi jakby tego nie chcieli przyjąć do wiadomości.

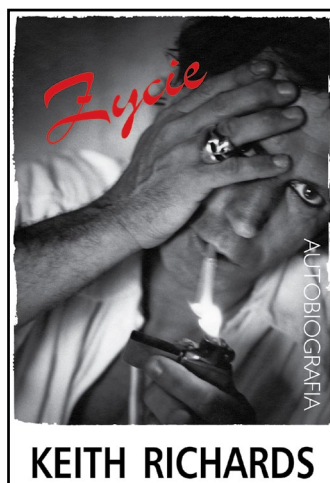
Najciekawsze w tej książce są opowieści osób związanych z show-biznesem i nie tylko, które miały coś wspólnego z Jaggerem. Na dłużej też zatrzymałem się przy fragmentach traktujących o support acts występujących przed Stonesami. Oto prawdziwy obraz tej branży! A przecież rozmawiałem z Richie'im Kotzenem, który był wyraźnie dumny, że otwierał kilka sztuk Stonesów w Japonii.

Zaletą książki jest jej aktualność. Kronika Jaggera kończy się na roku 2011. Biografię Micka czyta się szybko, gładko i przyjemnie. Większych wstrząsów nie odnotowałem. Może dlatego, że przeczytałem kilka innych książek o Rolling Stones i ta nic nowego przede mną nie odkryła? A może dlatego, że tak karykaturalna postać nigdy nie była moim „idolem”. Żadnych plakatów, przysięgam.

Keith Richards, mimo że ma w tytule „Autobiografia” również wsparł się zawodowym piórem. W pisaniu i redagowaniu pomógł mu James Fox, z którym zna się ponoć od dawna. Od pierwszych stron widać, że to zupełnie inna kategoria pisania. Z jednej strony perspektywa Richardsa, z drugiej tekst prawie literacki. Można to przeczytać z przyjemnością, nawet nie interesując się zespołem. A Keith jako to Keith – nie owija w bawełnę, nie cacka się z niczym i nikim (kolegom z zespołu też się dostaje). Czasem coś przemilczy, a czasem coś uwypukli. Obnaża też swoje rozpasane ego w całej rozciągłości. Cóż, to w sumie jest autobiografia... Lecz przebija z niej, że ten facet naprawdę lubi grać i komponować. A czasem śpiewać, choć kto słyszał śpiew Richardsa, ten wie, że może nie zawsze powinien. Poza tym jest też sporo rockowej „gangsterki”. Policja, burdele, narkotyki, pieniądze i dziewczyny. Jest też Jamajka i palmy,

bo kiedy chłopcom ze Stonesów konta spuchły, jakoś nie mogli sobie darować luksusów.

W sumie portret Richardsa jest taki, jakim chcielibyśmy go widzieć, bądź



James Fox

*Keith Richards.
Autobiografia, życie*

To Stonesi byli maminsynkami - wszyscy przecież uczyli się w collegach na peryferiach Londynu. Później przeprowadzili się do centrum, gdzie przymierali głodem, ale to był ich własny wybór. W ten sposób budowali swój buntowniczy wizerunek.

Nie żebym nie lubił The Rolling Stones, ale uważam, że nie mieli startu do The Beatles - brakowało im poczucia humoru, oryginalności, kompozycji, wizerunku. Byliby biedni, gdyby nie taniec Micka Jaggera. No dobrze, Stonesi nagrali parę świetnych płyt, ale koncerty zawsze grali gówniane, podczas gdy The Beatles dawali czadu po całości.

***lemmy**, *Autobiografia – Biała gorączka*, Wydawnictwo Kagra

poznać. Nie odbiega od wizerunku, jaki stworzył sobie przez lata. Lektura, jak wspomniałem, ciekawa, lecz po głębsze myśli radziłbym raczej skierować się do półek z filozofią. Poradnictwo życiowe też jest Richardsowi obce.

Dwie książki, dwie postacie. Dwa różne charaktery. Jeden zespół. Miliony sprzedanych płyt. Tysiące koncertów. Czy jednak ktoś sądzi, że dzięki książkom zajrzał w „dusze” bohaterów lub „poznał prawdę o ich czasach”? Nic bardziej mylnego. Stonesi to starzy cynicy, celebryci, którzy jeszcze starają się płynąć na fali. Przy okazji dorabiając na tym i owym do swych rozpasanych „emerytur”. Nie wierzyście? Proszę, oto wspomnienie mojego kolegi:

Podczas jednego z koncertów Stonesów w Polsce postanowiłem, że muszę zdobyć ich autograf. Tyle lat ich słuchałem, mam wszystkie płyty. Byłem na koncertach za granicą. Kupiłem więc bilet VIP – ciężkie pieniądze, lecz cóż – raz się żyje.

Bilet gwarantował „spotkanie z artystami”.

Po koncercie okazało się, że takich jak ja jest niecałe 10 osób. Zaproszono nas na „zaplecze”. Tam czekaliśmy chyba ze 2 godziny. W końcu pojawił się menedżer i powiedział, że za 15 minut wyjdzie do nas zespół. Ale mamy nic nie podawać do podpisywania, nie robić żadnych zdjęć i nie zbliżać się do muzyków. Chyba że członkowie zespołu dadzą na to przyzwolenie.

Zespół wyszedł, panowie stanęli w bezpiecznej odległości, popatrzyli na nas, my na nich. I nic. Zero. Leniwe uśmiechy, żadnych słów. Postaliśmy chwilę, nie wiem kto się z tym czuł gorzej – bo chyba nie oni. Uśmiechnęli się, rzucili “bye” i wyszli! Sorry, ale kupno albumu ze zdjęciami by wyszło taniej, a miałbym jakąś pamiątkę. A tak pozostał tylko niesmak.

Dawid Brykalski

Rozstaliśmy się, kiedy zaczęła pracować w Speak – zrywaliśmy z sobą ze cztery, pięć razy – i wtedy dała się bzyknąć Mickowi Jaggerowi. Zapytałem ją później, jaki był w łóżku. A ona na to: „Wiesz, był dobry, ale do Jaggera sporo mu brakowało”. Do Jaggera, czyli do perfekcji. Chodziło jej oczywiście o to, że Jagger nie był w stanie dorównać własnej reputacji. Nie było takiej możliwości, nawet gdyby pojawił się w progu, skacząc jak tyczkarz na swoim... wiecie o co mi chodzi?

DOOGIE WHITE

*W ostateczności
może być* HRABIA

Wokalista, który wygrał szczęśliwy los na loterii. Los nazywał się **Ritchie Blackmore**. Słynny człowiek w czerni, choć ostatnio raczej w rajtuzach, zaproponował Szkotowi współpracę przy ostatnim albumie **Rainbow**. Miało to miejsce szesnaście lat temu, ale ze względu na rangę Blackmore'a oraz poziom płyty **Stranger In Us All** było to wydarzenie w karierze White'a bez precedesu.

Następnie „załapał się” do ekipy Yngwiego Malmsteena oraz z powodzeniem kontynuował pracę nad własnymi projektami muzycznymi. Właśnie wydał

płytę **As Yet Untitled**, zbiór rockowych pieśni. Z jednej strony niby to płyta solowa, z drugiej – w nagraniach uczestniczył tłum znamienitych gości.

O tym wszystkim i o kilku innych sprawach Doogie opowiedział ze swadą i chętnie. Z ciekawostek – White udzielał się również w reklamie figurek Action Man.

Dawid Brykałski: *Pamiętasz może swój występ w Katowicach w 2005 r.? Przyjechałeś wtedy do nas jako wokalista grupy Yngwiego Malmsteena.*

Doogie White: Tak, oczywiście. Pamiętam doskonale. Graliśmy w wielkim budynku, który miał świetną, teatralną scenę (Górnośląskie Centrum Kultury w Katowicach – przyp. db). Po koncercie napiłem



Doogie White

się trochę dobrego wina. I zawsze chodzę, choćby na krótką przechadzkę, po mieście, w którym mam wystąpić. Chcę poczuć klimat danego miejsca.

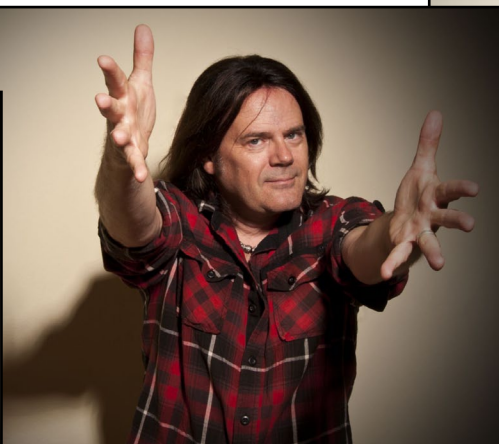
Jak wygląda Polska, Katowice w twoich oczach?

No cóż, pochodzę z przemysłowego szkockiego miasta Motherwell (siedziba pierwszoligowego klubu Motherwell F.C. – przypis DB) i zawsze, kiedy nasz klub awansuje do rozgrywek europejskich, gramy w Katowicach, również mieście przemysłowym... Mamy więc ze sobą coś wspólnego. I to Katowice zazwyczaj wygrywają... Ale ostatnio grałem koncert z zespołem Tank w Spodku. To było naprawdę dobre!

Uważam, że każdy fan hard rocka powinien znać ostatni album Rainbow Stranger In Us All. Ta płyta po latach się wcale nie zestarzała. Czy praca z Blackmorem była dla ciebie ciężkim wyzwaniem?

Wspaniałym wyzwaniem! To była grupa, która odniosła wiele sukcesów w latach 70. i 80. Przez jej skład przewinęli się rewelacyjni wykonawcy. Ale nasz skład to był taki nowy start. Ritchie był dla mnie cały czas bardzo pomocny i dodawał mi odwagi. Praca z nim to było coś, co zawsze chciałem robić jako jego fan. I, to była dla mnie naprawdę wielka ulga, fani Rainbow uznali, że tak jak zaśpiewałem na płycie oraz śpiewałem na koncertach, było zgodne z ich oczekiwaniami. Nie ukrywam, że słysząc takie opinie byłem bardzo, bardzo szczęśliwy.

Dobrze, że wspomniałeś o koncertach z Rainbow. Utwory którego z wokalistów: Dio, Bonneta czy Turnera okazywały się dla ciebie najtrudniejsze do wykonania?



Doogie White

Piosenki Grahama Bonnetta były zawsze dla mnie trudne ze względu na to, że niełatwo oddać barwę jego głosu. On zawsze śpiewał trochę surowym „krzykiem”, bardzo głębokim i silnym. Nieraz słyszałem parskania albo własny charkot podczas prób wykonania *All Night Long*.

Miałeś stracha występować razem z Blackmorem?

Absolutnie nie. Wiedziałem, co do mnie należy. Wszystko było perfekcyjnie przećwiczone, czułem się pewnie. Miałem samego Ritchiego Blackmore’a a w narożniku. Co mogłoby pójść źle?

Właśnie ukazał się twój album zatytułowany As Yet Untitled... Wciąż bez tytułu?

Często jestem o to pytany... A to tylko gra słów. Dziennikarze chcieli pisać o płycie, gdy nagrywaliśmy ten materiał, i wciąż padało: *aha, jeszcze bez tytułu (czyli właśnie as yet untitled – przypis DB.)*. Więc zdecydowałem, że to właśnie będzie tytuł tego albumu.

No i wciąż nie zostałem uhonorowany tytułem lorda czy innego barona... W ostateczności może być hrabia.

Pierwsza piosenka na płycie to Come Taste The Band. Czy chciałeś przez to powiedzieć: znam Deep Purple, to moje muzyczne korzenie, ale pozwólcie, że przedstawię moją grupę. Mam rację?

Tak, trafiłeś w sedno. Napisałem ten kawałek z myślą o fanach Rain-

bow i zdecydowałem, by brzmiał jak Deep Purple Mk 4. Ten kawałek bardzo spodobał się Blackmore’owi, a raczej uznał to za żart z mojej strony... Bo ten kawałek powstał w czasie, gdy byłem przyjmowany do Rainbow, a Ritchie chciał bym przyniósł coś swojego.

Come Taste The Band był pierwszym albumem Purpli, jaki usłyszałem. On kompletnie odmienił mój świat. Więc, by oddać honor bądź złożyć ukłon w stronę najlepszego zespołu na Świecie, uznałem, że to będzie najlepsze otwarcie płyty. Fani oczekiwali pewnie czegoś takiego, więc teraz wszelkie domysły nie mają już racji bytu.

Jesteś w stanie wskazać swój ulubiony utwór z As Yet Untitled?

Myślę, że doskonale zdajesz sobie sprawę, że to niemożliwe. Wybierz jedno ze swoich dzieci i powiedz, że kochasz je najbardziej. Czasem każde z nich doprowadza cię do szaleństwa albo trochę rozczarowuje. Ale oczywiście jeszcze częściej zaskakują cię, olśniewają albo wskazują rzeczy, których samodzielnie byś nie dostrzegł. Tak samo jest z piosenkami.

Przesłuchując As Yet Untitled odnajduję na płycie echa muzyki Led Zeppelin, AC/DC, Whitesnake, Deep Purple, Rainbow... – ale gdzie tak naprawdę Doogie White poszukuje suchych muzycznych inspiracji?

Przyznam, że nie słucham zbyt wiele współczesnej muzyki. By być szczerym, to powiem, że w ogóle nie słucham zbyt wiele muzyki. Ale studnia, z której staram się czerpać, jest głęboka i obfita. Muzyki nie słucham celowo zbyt wiele, by nie być nią w jakiś sposób „zarażony”. Raczej wolę zajrzeć w głąb siebie i poszukać czegoś, co mnie cieszy lub rani, albo wkurza. I o tym właśnie chcę



pisać. Nie chcę piosenek o „przyjęciach w Hollywood”, ale w kawałku *Catz Got Yer Tongue* odnajdziesz pewne niezbyt grzeczne nawiązania...

Oceniam, że płyta składa się z kawałków, które by bardzo dobrze zagrały na koncertach. Kiedy ruszacie w trasę?

Zabierać piętnastu muzyków w trasę...

To byłby logistyczny koszmar. Więc na razie planuję sprawdzić terminowe „możliwości” różnych osób i rozeznaczyć się, kto w ogóle zechce wystąpić. Niebawem będę występował z Cornerstone oraz Empire, więc sądzę, że fani będą zadowoleni...

Muzyki nie słucham celowo zbyt wiele, by nie być nią w jakiś sposób „zarażony”. Raczej wolę zajrzeć w głąb siebie i poszukać czegoś, co mnie cieszy lub rani, albo wkurza.

Jednym z moich ulubionych albumów jest Nostradamus Nikolo Kotzeva. Twoja rola na tej płycie to narrator. Czy to twoja jedyna próba sił w rock operze?

Miałem dużo satysfakcji i radości nagrywając *Nostradamusa*. Musiałem sporo przeczytać o temacie i przeżyłem spory stres pisząc swoje partie. Dio miał to zrobić, potem Bruce Dickinson, w końcu Jorn Lande wystąpił w roli inkwizytora... Jak wspominałem, było w tym wiele ekscytacji i chyba wyszło tak, jak sobie Kotzev wymyślił. To było w sumie kilka wypełnionych różnorodnymi emocjami dni.

Czy Doogie White ma jakieś specjalne hobby, niezwiązane z muzyką?

Tak. Zbieram wszystko, co dotyczy Jamesa Bonda. Muszę bardzo uważnie kontrolować aukcje na Ebayu, by wyłowić to, co bym chciał mieć... I zaraz będę musiał zacząć licytować, mam nadzieję, że mnie zrozumiesz... Poluję na modele samochodów, zegarki, książki,

plakaty... Staram się dorwać wszystko, czego nie mam. Nie posiadam niestety Aston Martina DB5, ale aktualnie nie mam pół miliona, by go kupić. Mój sąsiad kupił takie auto, czasem zerkam i myślę: *ależ to wspaniały samochód...* Poza tym zajmuję się zwykłymi sprawami jak każdy normalny człowiek.

Masz jakąś swoją definicję muzyki? Jak ważna jest muzyka w twoim życiu?

Muzyka jest tym, czym chcesz, by była. To proces, który rozwija i kształtuje emocje. Jednego dnia jakaś piosenka może sprawić, że śpiewasz i się śmiesz, a innego sprawi, że zapłaczesz. Oto cała radość płynąca z muzyki. Wkraczasz w jej świat i otrzymujesz to, czego pragniesz lub potrzebujesz. To również powód, dla którego nie powinno się dosłownie brać tekstów. Jednego dnia: „och!”, drugiego: „ach!”, trzeciego: „sądzę, że on ma na myśli...”, a czwartego: „dziś jest inaczej”. Takie coś oznacza, że to jest najlepsza piosenka. Zawsze mam odmienne wrażenia słuchając Davida Bowiego. Każdego dnia, w każdym utworze, w każdej linijce tekstu odnajduję coś innego. Myślę, że tak właśnie powinno to wyglądać.

Rozmawiał: Dawid Brykalski

Zdjęcia: Marta Thuszcz

The Ballad of **JOE BONAMASSA**

Joe Bonamassa – chłopak tak zdolny, że jeszcze nie był pełnoletni, a już występował jako suport act przed **B.B. Kingiem**. Do tego niezwykle pracowity. Co roku wydaje jedną lub dwie płyty, gra prawie **300 koncertów** i do tego się rozwija, rozwija i jeszcze raz rozwija. Ponieważ chętnie grywa w Polsce, z łatwością można to zweryfikować. Na własne, że tak powiem, uszy.

Rok 2011 był dla Bonamassy zwyczajowo pracowity. Nagrał solową płytę *Dust Bowl*, razem z kolegami (**Sherinian, Hughes, Bohnam**) wydał hardrockowe *Black Country Communion II* oraz DVD *Live Over Europe*. Mimo że wciąż jest w trasie, zdążył nagrać płytę z **Beth Hurt** *Don't Explain* oraz wystąpić gościnnie np. na płycie legendy bluesa **Leslie Westa**.

Joe Bonamassa występował w Polsce już kilka razy. W tym również w miejscach dość nietypowych – a może właśnie dla prawdziwego bluesmana inspirujących. Gitarzysta zagrał w jakimś domu kultury w małej miejscowości gdzieś na południu Polski oraz na jakimś miejskim festiwalu na Mazurach.

Po ostatnim – więcej niż świetnym – koncercie w Warszawie udało mi się zamienić kilka słów z muzykiem.

Dawid Brykalski: Czym kierowałeś się przy wyborze piosenek, których wersje zdecydowałeś się nagrać na swoim cover albumie – Black Rock?

Joe Bonamassa: *Black Rock* nagrywałem na greckiej wyspie Santorini – świetne miejsce. Założenie było takie, by uzyskać



Joe Bonamassa

jak najwięcej światowych „smaków”. Ponieważ udało się pozyskać kilku greckich muzyków, myślę, że nam się udało. Nagrywać z nimi i w tym niezwykle miejscu było prawdziwą przyjemnością. Ale wspólne nagranie z B.B. Kingiem piosenki *Night Life* – to sprawa o wiele poważniejsza. B. B. jest dla mnie wszystkim. Myślę, że bez Mr. Kinga byłbym nikim. Dał mi wielką szansę i będę mu za to wdzięczny do końca życia! A nagranie z nim tego utworu, to było coś niepowtarzalnego, czysta magia.

Udało ci się też wystąpić z Claptonem...

Tak, zagrać z nim, i to w Royal Albert Hall, to było jak sen albo jak spełnienie

marzeń. Kiedy to wspominam, myślę sobie, że to właśnie są najlepsze dni mojego życia. Podziwiałem go odkąd pamiętam i nadal jest jednym z najlepszych gitarzystów na świecie i pozostaje dla mnie prawdziwym herosem gitary. Swoją drogą, muszę ci powiedzieć, że to jeden z najsympatyczniejszych facetów, jakiego poznałem.

A jak to jest z tobą i gitarą – to ty ją wybrałeś, czy ona ciebie?

Sądzę, że to po prostu przeznaczenie, że tak było mi pisane. Mój ojciec miał wszędzie w domu gitary, bo był ich sprzedawcą i ponoć wzięłem jedną do ręki, jak miałem 4 lata... i tak mi już zostało. Dorastałem, wychowywałem się wśród gitar. Jestem jednak gitarzystą, który śpiewa, a nie na odwrót – wokalistą, który akompaniuje sobie na gitarze. Żeby temu podołać, biorę lekcje śpiewu i staram się cały czas pracować nad swoim śpiewem.

Czym – w czasach, kiedy muzyka dla wielu staje się tylko towarem na półce – jest dla ciebie muzyka?

To mój sposób na życie! Muzyka powinna być przede wszystkim grana na żywo. Jeśli ktoś nie koncertuje, nie występuje, to jego muzyka umiera.

Joe Bonamassa wystąpi ponownie w Warszawie. Tym razem jednak w Sali Kongresowej. Dokładnie 1 marca 2012 r. Sądzę, że fani Joe'ego mogą szykować się na pełen emocji wieczór. Może nawet zbliżony do koncertu, który został wydany na DVD *Live At The Royal Albert Hall*? To właśnie na tym wydawnictwie można posłuchać duetu Clapton & Bonamassa. Jednak Joe przypomniał mi się w związku z innym wywiadem. Była to rozmowa dość wyjątkowa. Uda-

ło mi się – w roku 2009 – porozmawiać z Garym Moorem.

Dawid Brykalski: *Mam wrażenie, że jesteś wobec młodych muzyków dość krytycznie nastawiony... Na przykład wobec Joe'ego Bonamassy.*

Gary Moore: Dobrze, że to poruszyłeś. To dopiero jest prawdziwe gówno! Nie jestem zbyt krytyczny, ale magazyń, który to opublikował, po prostu mnie oszukał. I podpisywał jakieś zmyślane rzeczy...

Jak to?!

Tego, co jest w tym wywiadzie, ja nie powiedziałem! Powiedziałem wtedy, że Joe jest bardzo dobry, ale gra zbyt „chłodno”, za bardzo kalkuluje, powiedziałem, że on gra tak, jakby nie umiał się zdecydować, co ma grać. Jakby wciąż szukał własnej drogi. I w prywatnej rozmowie z Joe'em też mu to powiedziałem – i przyznał mi rację. Powiedzieliśmy to sobie i nie było z tego żadnego problemu między nami. Znamy się z Joe'em i on rozumie, że jeśli chce grać bluesa, nie może sięgać po muzykę indie albo jakieś pieprzone country! (*śmiech*) Musi pracować nad własnym stylem. Jeśli chce grać bluesa, musi grać bluesa. To było to, co powiedziałem. I nie wydaje mi się, żeby to było jakoś specjalne krytykujące, to raczej miało być dla niego ośmielające.

Tyle Gary Moore. R.I.P., a tymczasem na niektórych koncertach Joe Bonamassa oddaje mu hołd, wykonując np. *Midnight Blues*. Mam nadzieję, że tak też będzie w Warszawie.

Tekst: Dawid Brykalski
Zdjęcia: Magdalena Zaleska



LIVE IN CONCERT
JOE BONAMASSA
„NOWY MESJASZ
MIŁOŚNIKÓW
GITARY”

- THE SUN

ticketportal.pl

bilety:

1 marca 2012
Warszawa
Sala Kongresowa
godz. 20.00



POBIERZ DARMOWY PLIK
„DUST BOWL” ZE STRONY
WWW.JBONAMASSA.COM

PREMIERY *filmowe*

reż. Agnieszka Holland

W ciemności



Film polskiej reżyserki dostał z marszu dziesięć gwiazdek. Powodów należy wymienić kilka: próba dekonstrukcji podniosłego filmowego mitu kanału, zapoczątkowanego przez Andrzeja Wajdę w obrazie pod znaczącym tytułem Kanał. Holland pokazuje, że nie tylko dzielni powstańcy walczyli z okupantem kryjąc się w podziemiach miast, ale i próbujący uratować się z czystek Żydzi. I chociaż o polskich powstańcach świat wie w sumie niewiele, to o Żydach świat poznał już niejedną historię (wystarczy wspomnieć *Listę Schindlera*, do której film Holland jest przez wszystkich porównywany).

Zgoła innym powodem, dla którego film zasługuje na maksymalną ilość gwiazdek, jest odwaga, z jaką Agnieszka Holland postanowiła bronić swojego prawa do zaangażowania w projekt polskich aktorów i pozostawienia polskiego języka w filmie, który jest koprodukcją międzynarodową. I który niebawem ma stanąć w szranki z innymi nieanglojęzycznymi filmami w bitwie o Oskary.

Trzecim, i chyba najważniejszym powodem, jest niebanalna historia, napisana przez samo życie. Historia pełna niejednoznacznych bohaterów postawionych wobec ostateczności.

reż. Steven Spielberg

Przygody Tintina



Komiks autorstwa Hergé, który w Belgii jest niemalże dziedzictwem narodowym, dopiero niedawno zaczął funkcjonować w polskiej świadomości komiksowej. Ale na całym świecie ma swoich zagorzałych fanów. Okazał się nim także nie kto inny, jak sam Steven Spielberg.

Film w reżyserii Spielberga składa hołd niezwykłym przygodom komiksowego bohatera oraz stawia kolejny krok w dziedzinie komputerowej ani-

macji zwanej Performance Capture. A poza tym jest bombową mieszanką humoru, szybkiej akcji i odkrywania niezwyklej tajemnicy. Łączy w sobie super nowoczesną technikę 3D z sięganiem do korzeni, do samego rdzenia twórczości amerykańskiego reżysera, czyli do tzw. Kina Nowej Przygody.

Muzykę do filmu stworzył kompozytor John Williams, odpowiedzialny za niezapomniane dźwięki *Gwiezdnych wojen*. Jest i polski akcent w osobie operatora Janusza Kamińskiego.

Skala ocen:

God must have been a fuckin' genius

*I just met a wonderful new man
He's fictional but you can't
have everything*

*My mum always said,
life is like a box o chocolates*

I love you, honey bunny!

May the Force be with you

To weird, to live, and to rare to die

Coco Jumbo i do przodu

Huston, we ve got a problem

**

Ja tu widzę niezły burdel

*

Albercik! Wychodzimy!

**reż. Martin Clapp
Geoff lindsey**

Latająca maszyna



Film dla dzieci, propagujący twórczość Fryderyka Chopina. Łączy w sobie animację poklatkową oraz grę aktorską. Niestety, właśnie na styku tych dwóch stylów filmowych zgrzyta niemiłosiernie.

Powód niejedności jest wręcz prozaiczny: część animowana jest wyśmakowana i przepiękna, bez zbędnych słów, za pomocą tylko obrazu

i muzyki przekazuje pełnię treści. Zupełnym przeciwieństwem jest część spinająca film, czyli część aktorska, której nie ratuje nawet obecność Heather Graham. Przegadana, pełna nachalnej dydaktyki, zniechęca do siebie nawet najtwardszego fana animacji.

A przecież właśnie ta część, w której „maczali palce” twórcy *Piotrusia i wilka*, jest warta poznania. Gdyby okroić całość o niepotrzebny aktorski początek i koniec, film zyskałby na celności i miałby szanse na Oscara.

Zdecydowanie dla najmłodszych, dorośli na seansie powinni uzbroić się w pokłady cierpliwości.

reż. David Cronenberg

Niebezpieczna metoda



Film niejako autotematyczny. Dla wszystkich, którzy znają, choć w przybliżeniu, twórczość Cronenberga, powinno być oczywistym, iż to on zabrał się za temat genezy psychoanalizy. Problematyka destrukcyjnego wpływu

cielesności na psychikę człowieka jak u żadnego innego reżysera jest obecna w filmach Cronenberga, wystarczy wspomnieć *Crash* z 1996 roku.

Pomimo tego, że temat wydaje się idealny dla tego reżysera, to do pełni ideału czegoś zabrakło. Powolnej fabuły nie jest w stanie przyspieszyć ani Michael Fassbender jako Jung, ani Viggo Mortensen w roli Freuda, ani tym bardziej Keira Knightley jako Sabina, pacjentka i kochanka Junga. Choć miota się i wije a to w spazmach zaburzenia psychicznego, a to w ramionach Junga, to nie udaje jej się pobudzić pełnej marazmu atmosfery filmu.

reż. Tate Taylor

Służące



Adaptacja książki autorstwa Kathryn Stockett, która porusza niewdzięczną kartę w dziejach amerykańskiego rasizmu lat 60. w niezwykle wdzięczny sposób. Bohaterkami są Afroamerykanki. O nich i o ich doli jako służących chce

napisać książkę Skeeter Phelan, absolutnie wyżej uczelni, która wraca do rodzinnego miasteczka w Missisipi, aby rozpocząć karierę pisarki. Zaskoczona zabetonowaniem stosunków między białymi panami a ich czarnoskórymi służącymi, chce odmienić tę sytuację.

Film jest bardzo tradycyjny w formie, można napisać, że sięga wręcz do wzorca kina stylu zerowego. Ma bardzo duże szanse na Oscary, więc warto się zapoznać.

reż. Przemysław Angerman

Wyjazd integracyjny



Reżyser *Jak to się robi z dziewczynami*, zupełnie nieudanego dziełka, idzie jeszcze dalej i pokazuje, że w ogóle nie potrafi kręcić filmów. W *Wyjeździe integracyjnym* operując stereotypami i dowcipami dla gimnazjalistów, serwuje nam fabułę duszną od oparów alkoholu, seksu albo aluzji do masochistycznych gier wstępnych okraszonych lateksem. Najgorsze jest w tym wszystkim to, że tylko scenarzyści i reżyser dobrze się tu

bawia, a tego już zupełnie nie można powiedzieć o aktorach (czego się nie robi dla pieniędzy), ani widzach.

Nie ma tu, niestety, miejsca na konstruktywną krytykę. Po prostu lepiej nie oglądać.

reż. Mitja Okorn

Listy do M.

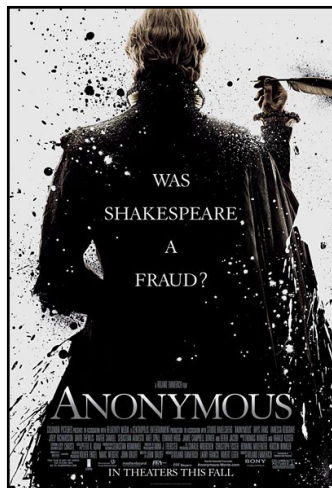


Jeśli nie komedia romantyczna, to co?

Jest taki podgatunek komedii, odkurzony jakiś czas temu filmami *To właśnie miłość* i *Holiday*. To komedia świąteczna, a bardziej konkretnie bożonarodzeniowa. Do tego podgatunku nawiązuje obraz słoweńskiego reżysera Mitji Okorna. *Listy do M.* są jak dobrze nam znany zestaw potraw świątecznych. Niby to już było, ale pod koniec grudnia nie myślimy o niczym innym. Natomiast tu dobrze udało się wymieszać składniki, dobrać odpowiednio miarę do założenia, że robi się film dla pieniędzy i teraz tylko patrzeć, jak zamiast *Kevina samego w domu* w każdą wigilię będziemy się raczyć *Listami do M.*

reż. Roland Emmerich

Anonimus



Niemiecki reżyser Roland Emmerich stworzył dzieło zupełnie odbiegające od swego dotychczasowego dorobku. Bo to przecież spod jego czujnej ręki wyszły epickie filmowe demolki, jak *Godzilla, 2012* czy *Dzień niepodległości*.

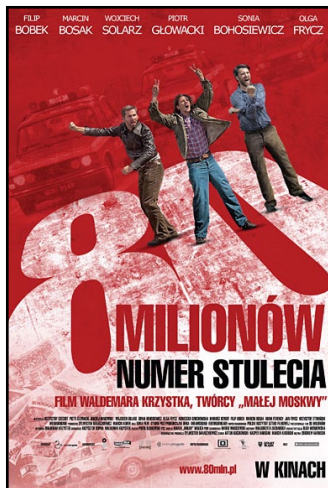
W *Anonimusi* kreuje elżbietański dwór pełen przepychu i wystawnych kostiumów. Zachowuje jednak nietypową dla siebie powściągliwość w wykorzystaniu scen plenerowych, tworzą bardziej kameralne, a wręcz intymne kino.

Głównym motywem jest znana teoria historyków literatury, jakoby to nie William Szekspir był autorem *Hamleta* i innych dzieł, ale lord Oxforodu, Edward de Vere. Wokół tej teorii obraca się cała akcja filmu, obfitując w akcenty polityczne i rozmyślania nad losem artysty.

Może nie jest to dzieło wybitne, ale warto poznać. Już choćby ze względu na to, że mocno odbiega od utrwalonego wizerunku Emmericha jako „Master of Disaster”.

reż. Waldemar Krzystek

80 milionów



Na szczęście i dla nas, odbiorców, jak i dla twórców, świat przedstawiony w dziele Krzystka nie jest czarno-biały, choć tego można by się obawiać po filmie o czasach PRL-u. Bohaterowie, młodzi działacze Solidarności, są przede wszystkim młodzi, a ponadto zwyczajnie ludzcy. W jakimś sensie rewolucjoniści, ale pokazani w taki sposób, że nie widać w nich śladu fanatyzmu. Świetne odegrane role przez Wojciecha Solarza, Krzysztofa Czeczotą, Macieja Makowskiego i Piotra Głowackiego.

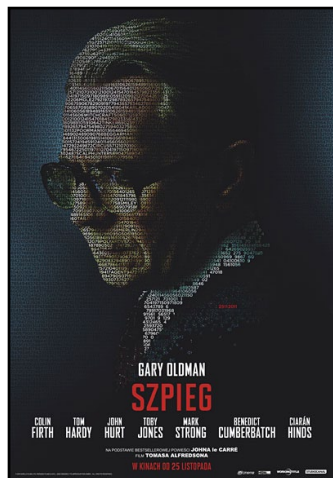
Reżyser *Małej Moskwy* bardzo dobrze wie, jakie filmy chce kręcić. Jak melodramat, to pełną gębą, jak sensacja historyczna, to na fest. Do tego trzeba mocno zaznaczyć, że Krzystek ma smykałkę do oddawania prawdy o przaisnej codzienności czasów, które odmalowuje na ekranie. Znajduje przy tym swoją własną drogę, która nie ma nic wspólnego ani z wciąż popularnym

Bareją, ani z zakurzonym *Człowiekiem z marmuru* Wajdy.

reż. Tomas Alfredson

Szpieg

★★★★★★★★



Ten film odkrywa się niczym zakurzone wnętrze sklepu ze starymi płytami winylowymi. Osobom, które potrafią docenić duszę takiego sklepiku, na pewno przypadnie do gustu obraz Alfredsona.

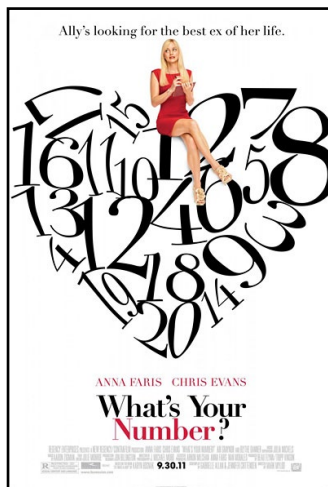
Główny bohater, grany przez Gary'ego Oldmana agent Smiley, musi odkryć, kim jest rosyjska wtyczka w szeregach brytyjskiego kontrwywiadu. W swych poszukiwaniach, inaczej niż agent Bond, nie posługuje się metodami siłowymi, raczej siedzi za biurkiem i wykonuje żmudną pracę intelektualną. Postać Smiley'a oddana jest na ekranie z niezwykłym pietyzmem i prawdopodobieństwem. Zresztą, charakter lat 70. ubiegłego wieku w całości został wyraziście scharakteryzowany.

Oprócz Oldmana świetnie zagrali również Colin Firth, John Hurt i Mark Strong, żeby nie wspomnieć właściwie całej obsady... Zdecydowanie, film roku!

reż. Mark Mylod

Ilu miałś facetów?

★



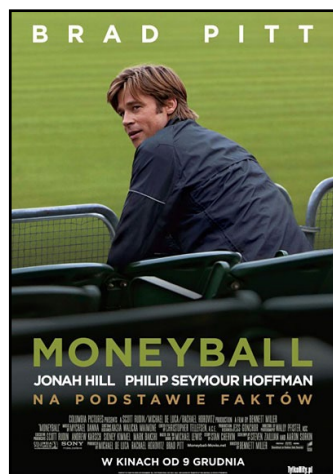
Okazuje się, że jeśli kobieta spała z więcej niż 20 facetami, to ma znikome szanse na wyjście za mąż. Takiej rewelacji pewnego dnia dowiaduje się główna bohaterka filmu Ally Darling, i po podliczeniu swoich dotychczasowych podbojów dochodzi do wniosku, że albo do końca życia zostanie sama albo wśród swych byłych znajdzie tego jedynego.

Oczywisty bezsens tego założenia powinien powstrzymać scenarzystę i reżysera przed nakręceniem tego filmu. Niestety, nikt nie wyperswadował im tego pomysłu. Najlepiej omijać szerokim łukiem.

reż. Bennett Miller

Moneyball

★★★★★★



Nie jest to typowy film sportowy. Generalnie rzecz ujmując, to że bohaterami są sportowcy i trener drużyny bejsbolowej, nie oznacza wcale płytkiej

fabuły o napakowanych mięśniakach biegnących za piłką.

Dream team: reżyser Bennett Miller, scenarzyści Aaron Sorkin i Steven Zaillian oraz Brad Pitt jako odtwórca głównej roli oraz producent – razem dokonali rzeczy niebanalnej. Nakręcili film z wciągającą i niejednoznaczną fabułą, w której bohater przechodzi znaczącą przemianę. I w tej roli Pitt znów popisowo pokazuje, że jako stary hollywoodzki wyjadacz nie ma sobie równych.

Społeczeństwo amerykańskie po kapitalistycznych przemianach ukazuje tu swoje najprawdziwsze oblicze. Bardzo mocny akcent, nie pozostawiający złudzeń, co do sposobu dochodzenia do czegokolwiek w Stanach.

Kolejny kandydat do Oskarów.

Opracowała: Karolina Joisan

Czytasz za darmo?

Wyślij SMS-a

Nie mamy nic przeciwko darmowemu przesyłaniu znajomym numerów naszego pisma!

Jeśli jednak posiadasz ten numer z takiego źródła, a uważasz, że jest on wart swojej ceny - zapłać ją!

To tylko 1.23 zł, a pozwala nam kontynuować i rozwijać naszą działalność.

Wyślij **HPAY.ALTERPOP** na numer **7155** [1.23 zł]

PEWNEGO RAZU *w Edynburgu*

Niewdzięczne jest pisanie o filmowej adaptacji książki. Zaraz zaczynają się fani oryginału zżymać, że film nie oddaje pełni zamysłu, że spłyca i przeinacza powieść. A już grozę budzi to, że recenzent zamiast wcześniej zapoznać się z książką, jakby nigdy nic idzie najpierw do kina. I choć tak było w wypadku niniejszej recenzji, to na swoją obronę autorka ma tylko jeden argument: **miasto Edynburg**.

Magia miasta ma to do siebie, że jest nieodparta. Miasto może stać się jednym z bohaterów filmowych, jak w *Vicky Christina Barcelona* Woody'ego Allena czy *Lisbon story* Wima Wendersa. I choć w filmie *Jeden dzień* **Edynburg** jest pokazany tylko w początkowych i końcowych scenach, to ulotne piękno tego miasta uchwycone w kadrach warcie jest zapoznania się z całą historią.

W Edynburgu, na zakończeniu studiów, poznają się Emma i Dexter. Niby doskonały moment na rozpoczęcie romansu, ale nie do końca tak cudownie wszystko się układa, więc postanawiają zostać przyjaciółmi. Następny przystanek to **Londyn**, który mieli na papkę studenckie ideały (Emma) oraz pragnienia zostania sławnym, bogatym i zawsze pięknym (Dexter). Oboje próbują ułożyć sobie życie, przechodząc przez różne etapy zmagania ze sobą nawzajem oraz z resztą świata. Dla Emmy wyzwoleniem spod ciężaru przeintelektualizowania (pozostałość po aktywnym życiu akademickim) okazuje się decyzja o zamieszkaniu w **Paryżu**.



reż. Lone Scherfig
Jeden dzień

Londyn i Paryż posiadają całkiem spory sztafaż filmowych odniesień. Londyn – miasto, które nigdy nie śpi, w którym zdobywa się sławę i pieniądze. Paryż, gdzie rozkwita miłość i pełni się życie artystyczne. Skąd w tym towarzystwie Edynburg, stolica deszczowej Szkocji?

Edynburg rzadko bywa obiektem filmowych zachwyty. Jest niejako

tabula rasa – niezapisaną kartą, którą można się posłużyć, aby wyrazić coś zupełnie nowego i odmiennego. Dla bohaterów *Jednego dnia* w tym mieście, 15 lipca 1988 roku, zaczyna się znajomość, która będzie miała na nich wpływ przez następnych 20 lat. Tu też historia zatacza koło, kończąc się piękną elipsą, odkrywającą przed widzem panoramę miasta ze wzgórza Arthur's Seat. Ten widok staje się symbolem związku Emmy i Dextera.

Do filmu, jak zwykle w takich wypadkach, można by się przyczepić tylko o jedno: jako adaptacja nie oddaje tej skomplikowanej i wielowątkowej fabuły książki [autorka recenzji książkę w końcu przeczytała – przyp. kj]. Na obronę zaś pozostaje fakt, że scenariusz napisał sam **David Nicholls**, więc jako autor pierwowzoru chyba wiedział, co robi, ciachając i wyrzucając co poniektóre wątki. Dzięki temu większą siłę wyrazu mają aktorskie kreacje **Anne Hathaway** oraz **Jima Sturgessa** jako Emmy i Dextera oraz niezaprzeczalnie urokliwe wąskie uliczki i zakamarki Edynburga.

Karolina Joisan



reż. Lone Scherfig
Jeden dzień

STORMARE

szczyrzy kły

W kulturze nordyckiej wilk uosabia siły demoniczne. W *Eddie poetyckiej* jest diabłem, bądź esencją zła. „Potworny wilk Fenrir z mitologii skandynawskiej (syn demonicznego boga Lokiego i olbrzymki Angerboddy), został spętany przez bogów magiczną wstęgą. Jednak silne zwierzę rozerwie wstęgę w dniu końca świata. Porządek Kosmosu może więc być zachowany tylko przez obezwładnienie zła, które i tak wyrwie się z więzów i zniszczy ten porządek.”

Wilk (org. *Varg*) to dzieło na wskroś skandynawskie. Przede wszystkim za sprawą szwedzkiego aktora **Petera Stormare’a**, grającego dotychczas u najznamienitszych reżyserów, m.in. u Bergmana, braci Coen, czy Larsa von Triera. Szczególnie znany jest z obrazu *Tańcząc w ciemnościach*, gdzie partneruje islandzkiej wokalistce Björk. Z bardziej komercyjnych produkcji, w pamięci widzów z pewnością zapisała się jego twarz jako Johna Abruzzi z serialu *Prison Break*.

Główny bohater jest miłośnikiem przyrody i hodowcą reniferów. Mieszka na dalekiej północy, gdzieś na styku Szwecji i Norwegii. Klements dogląda stada jeżdżąc na skuterze. Jego osiemnastoletni siostrzeniec Nejla raczej nie garnie się do nauki i tak jak wuj, którego szczyrze podziwia, pała ogromną miłością do reniferów. Hodowla wymaga jednak sporych inwestycji. Jest nie tylko pożeraczem gotówki, ale także czasu. Nejla opuszcza zajęcia w szkole by doglądać stada. Rodzice nie są zachwyceni tym, że ich syn wiele godzin poświęca na bliżej nieokreślone eskapady z wu-



reż. Daniel Alfredson

Wilk

jem. Chłopak nie zważając na ich zdanie penetruje okolice. Natyka się na rozszarpane, martwe renifery... gdzieś pośród białej połaci czai się bowiem wilk. „Pasterze” postanawiają się z nim rozprawić, a Klements chce zrobić to na własną rękę. Dzielnego Nejla ma także czynny udział w zgłodzeniu zwierzęcia.



To on ostatecznie odbiera mu życie, zadając kilka ciosów... siekierą. Problem w tym, że w Szwecji stworzenie to jest objęte ścisłą ochroną i zabicie go podlega poważnej sankcji karnej. Grozi za nie kilka lat więzienia. Zatarcie śladów w popłochu nie zdaje egzaminu. Rozpoczyna się dochodzenie.

Klements naprawdę kocha zwierzęta. Renifery to jego życie. Rozumie zależności panujące w świecie fauny. Żyjąc ubogo, niemal w odosobnieniu, poświęca swoje życie troszcząc się o stado.

Jednak stare „Człowiek człowiekowi wilkiem” wybrzmiewa echem szczególnie wyraźnie pośród śnieżnej głuszy. Nie wszyscy są bohaterowi przychylni. Ludzie nie rozumieją, że Klements twardo trzymając się swoich zasad, jest przekonany, że to co robi, jest wartościowe i potrzebne. Dla nich najważniejsze jest prawo.

Skandynawski krajobraz jako tło dramatycznych wydarzeń, nordyckie rysy bohaterów oraz oddanie naturze, to elementy dzięki którym film zyskuje na spójności i oryginalności. Scenariusz wydaje się opierać na nieskomplikowanej historii. Jednak dzięki fenomenalnej grze **Petera Stormare’a** i debiutującego w roli Nejli **Robina Lundberga**, przepięknym zdjęciom i muzyce, obraz przeradza się w trzymający w napięciu dramat z elementami filmu kryminalnego. Stormare wreszcie daje się poznać widzom z innej strony, niż w postaci psychopatycznego mordercy, czy innego oprycha. Co prawda wilczy los dopada odludka z małej chatki w górach, jednak rola Klementsa pięknie szczyrzy kły.

Ewelina Leszczyńska

Kocham Pana, panie Suzin

Co się właściwie wydarzyło przez te 60 lat, od czasu kiedy zaczęto nadawać pierwsze programy telewizyjne? Otóż nie tylko zmieniły się maniery oraz sposób traktowania widzów i słuchaczy przez speakerów (dzisiejszych prezenterów), ale także jakby ulotniła się po drodze magia łącząca nadawcę z odbiorcą...

Jesteśmy dziś w mediach karmieni papką na „amerykańską modłę”. Czy naprawdę lubimy oglądać dziennikarzy ucinających sobie kurtuazyjną pogawędkę przed serwisem informacyjnym? Ani nie wygląda to naturalnie, ani nie jest ciekawe. Czy to dlatego, że telewizja i radio spowszedniały, czy dlatego, że mamy coraz mniej czasu i komunikaty muszą być krótsze, konkretniejsze i ewentualnie uatrakcyjnione przez pogawędki albo żarciki o zabarwieniu politycznym?

Owszem, można słuchać radiostacji typu Dwójka czy Trzeci Program Polskiego Radia, których poziom wypowiedzi dziennikarskiej jest wciąż na wysokim poziomie. Można także oglądać takie programy jak TVP Kultura czy Kino Polska, aby śledzić chociażby *W Iluzjonie* – program prowadzony przez Stanisława Janckiego, prezentującego przedwojenne polskie filmy. Wówczas łatwo jest doświadczyć tego przyjemnego wrażenia, że dziennikarz mówi do nas, bo naprawdę chce nam przekazać coś ciekawego.

Kiedyś Irena Dziedzic czy Krystyna Loska potrafiły traktować widza jak partnera i ze szczerością mówić do niego z niebieskiego ekranu, a dziś włączając odbiornik natykamy się na często nieszczerzy uśmiech i „gadającą



Jan Suzin

cą głowę” pozbawioną emocji, za to w modnym żakiecie. Gdzie jest kultura słowa w codziennym programie wieczornym?

Dla mojego pokolenia atrakcyjne są pocztówki z PRL-u, stare kroniki filmowe. Pewnie dlatego, że dobre wspomnienia z najmłodszych lat pozwalają nam cofnąć się w czasie. Chciałabym dziś, włączając podstawowy kanał telewizyjny, usłyszeć „Siadam sobie wraz z Państwem w fotelu i czekam na slicznotkę z Memphis” – jak zapowiadał film w 1993 roku Jan Suzin, albo

zobaczyć Krystynę Loskę zapraszającą do *Nocnego kina*.

Mnie jest po prostu smutno, że takich ikon w polskiej telewizji już prawie nie ma. Co prawda Tadeusz Sznuć wciąż prowadzi w telewizji znany teleturniej *Jeden z dziesięciu*. Na szczęście „nasze czasy”, przyniosły nam doskonały wynalazek Internetu, a w nim YouTube’a, gdzie można poszperać i znaleźć wyżej wymienione cuda.

Z tęsknoty za dawnym dziennikarstwem, próbuję wyławiać takie perełki, choćby z Sieci. Niedawno natknęłam

się na filmik zatytułowany *Znane głosy, nieznane twarze*, który prezentuje sylwetki najbardziej znanych lektorów. Wzrusza mnie i cieszy, że Ksawery Jasieński zapowiada stacje w warszawskim metrze, a w niektórych liniach autobusowych rozbrzmiewa głos Tomasza Knapika. Może to ja tęsknię za tymi głosami... Kiedyś pracowałam w kawiarni i wieczorami składałam telefonicznie zamówienia na ciasta w pobliskiej cukierni. Przesympatyczny Pan, który je przyjmował, miał głos łudząco podobny do Lucjana Szotajskiego.



Ewelina Leszczyńska

VALHALLA

Rising

Przelotne hobby, o którym opowiesz mu po raz pierwszy, będzie za tobą chodziło jak pies, po raz pierwszy z Twojej ręki nakarmiony.

- Ja też widziałem kiedyś film o Wikingach! - oznajmiło mi moje Słodkie Stworzenie, mój guru filozofii tak świeżej, jakby świat urodził się wczoraj.

Podniosłam oczy znad celtyckiego motywu, któremu starałam się nadać pozory rzeczy tak świeżej, jakbym go haftowała kościaną igłą w kurnej chacie.

- Jaki film?

- O wikingach. Była tam królowa-wojowniczką, zresztą niezła laska, która ukryła swojego syna, żeby nie zginął.

- Ale jaki tytuł? - drążyłam.

- Nie pamiętam. Coś na R. Albo coś z R. Jak do mnie przyjedziesz, to obejrysz.

- Nie przyjadę! Sama sobie obejrzę! Sama sobie znajdę!

- Jak znajdziesz? Nie znasz tytułu.

- Ja WSZYSTKO znajdę! - zadarłam nos i zaczęłam szukać.

Znalazłam **When The Raven Flies**. Hm. Nie chciałam, żeby to było to. Nie wiem czemu. Wyglądał mi jakoś podejrzanie. Może tytuł mi się nie podobał. Zasada pierwszej kości, którą rzucasz obcemu psu.

Znalazłam **Valhalla Rising**. Za oknem mrok. Jutro zaduszki. Pasuje. Obejrzałam.

Czekałam na piękną królową-wojowniczkę, która sama ginie, ale ratuje swojego syna, aby został królem. Nie było tu jej. Już nie szukałam tego czegoś na R.

Tup tup, szur szur, po mojej głowie i po wietrznych pastwiskach Islandii chodzi jednooki facet. Milczy. Trzymają go na łańcuchu, bo przynosi zysk. Nie-dużo, ale zawsze coś. Dobrze walczy. Robi to obojętnie. Prowadzą go na drągach, przywiązują łańcuchem do słupa, jak trolle. Wpuszczają następnego. Zakłady. Walka. Ciosy, uderzenia, śmierć. Na łańcuchu do klatki. Miska zupy. Następny dzień. Następna walka.

Potem coś się wydarza. Nie to, czego chcesz, nie to, czego nauczyła Cię amerykańska sztampa. Coś innego. To coś dzieje się dalej, samo. Nie chcesz tego, ale los ma w dupie Twoje chcenia. Dzieje się inaczej. Boleśnie. Wciąż od nowa. Głupio i nieprzewidywalnie. Fascynująco. Świeżo.

Minęło kilka dni. A tu wciąż tup tup tup chodzi mi Jednooki po głowie.

Telefon.

- Już jestem i sprawdziłem, jaki to film.

- Jaki?

- **Pierścień Nibelungów**.

- Acha.

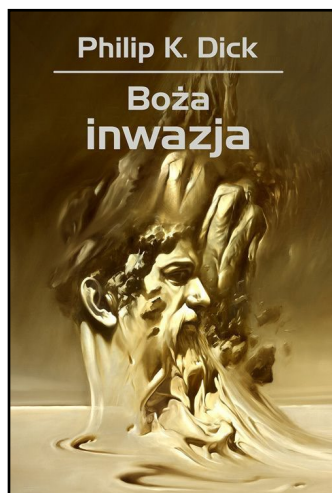
Joannus

PREMIERY

książkowe

Philip K. Dick

Boża Inwazja



Wydawnictwo Rebis wznowia dzieła Dicka w serii, która zasługuje na jakiś laur pt. „najlepiej wydana książka roku”, „Nagroda edytorów – seria roku”, albo coś w tym stylu. Ta książka i kolejne z dickowskiej serii to rarytasy, które powinny być ozdobą kolekcji każdego miłośnika literatury, nie tylko science-fiction.

Boża Inwazja to wbrew temu, co w zbyt banalnym wstępie pt. *Dzwoneczki w ciemnościach* (!!! – wykrzykniki moje, gdyż wołam nimi o pomstę do nieba!) napisała M.L. Kossakowska to

nie powrót do krainy własnego dzieciństwa, ale poważny traktat, reportaż wręcz z własnego szaleństwa. Dick nie był normalny, a jego mózg nie pracował „linearnie”, ten wniosek z łatwością wyciągnie każdy, kto zna choć ze dwie jego powieści. W *Bożej Inwazji* Dick mierzy się z tematami wiary, Boga, niewiary, wątpliwości, natury człowieka oraz z własnymi demonami. Wszystko podane w filozoficznym sosie, który udaje fabułę.

Gruba sprawa, rzecz do przeczytania po kilkakroć, a i tak będzie mało.

Wojciech Mann

*Rock * Mann, czyli jak nie zostałem saksofonistą*



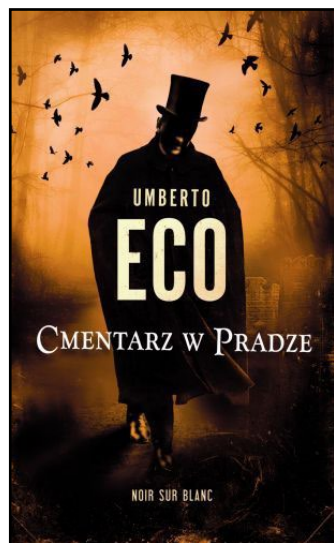
Trochę, a nawet bardziej niż trochę mnie ta książka rozczarowała. Zabrakło w niej błyskotliwych point, z jakich słynie Mann na antenie radia bądź w TV.

Wspomnienia redaktora Manna to niepozobawiona uroku historia o tym, kto naprawdę sprowadził do Polski Stonesów, jak występować na jednej scenie ze Steve Wonderem oraz czego nie należy robić przed wejściem na scenę w celach konferansjerskich. Mann wspomina również swoje epizody tekściarskie, historie z telewizji oraz walki z cenzurą. Wiele zabawnych momentów z życia pasjonata muzyki i... koniec.

Aż dziw bierze czemu ta książka ma tak wątlą objętość.

Umberto Eco

Cmentarz w Pradze



Jeśli kiedyś przeprowadzę wywiad z Umberto Eco z pewnością spytam go – ile książek przeczytał, by napisać

np. właśnie *Cmentarz w Pradze*? Po-dejrzewam, że wiele, a samego autora może to pytanie zmusić do jakiegoś szczegółowego zestawienia. A przecież jak na Eco to tylko „błahy kryminał”.

Od którejkolwiek strony zacząć oceniać, czy opisywać tę powieść obawiam się, że można odebrać główną przyjemność płynącą z jej lektury. Bohaterem bowiem głównym tej książki – oprócz licznych postaci – jest tajemnica i spiskowe teorie dziejów. Historie zmyślone płaczą się z historią autentyczną,

Skala ocen:

Sto lat samotności

Miasto Grzechu

Cień wiatru

Gra w klasy

Czas jest najprostszą rzeczą

Moja walka...

Kronika sportowa

Paulo Coelho

**

Żegnaj laleczko

*

Czas pogardy

a (jednak zmyślony) bohater jest tylko pretekstem, by wszystko jeszcze bardziej pogmatwać.

Jakby to ładnie splentować... Oczekujesz od książki wysokiej klasy rozrywki? Zaufaj Eco, on wie najlepiej w jakich proporcjach mieszać to, co popularne, z tym, co wyższe zamierza mieć loty.

Karl Hammer

Tajemnica Ołtarza Gandawskiego



Adolf Hitler to był kawał p*jeba. Te niecenzuralne słowa muszą mi zostać wybaczone, gdyż są prawdą, prawdą i tylko prawdą. Hitler jak wiemy, nakazał kraść i przywozić do Rzeszy wszystko, co miało jakąś wartość.

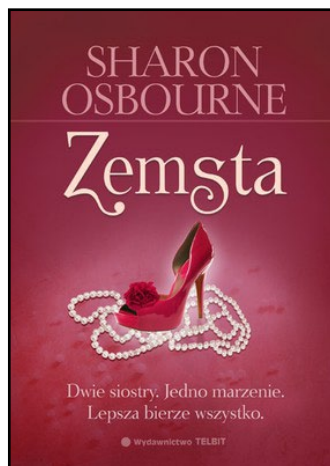
Tym razem rzecz idzie o kradzież dwóch tablic z katedry gandawskiej. Jedna znalazła się szybko, drugiej nie ma do dziś. Hammer – były dziennikarz – mierzy się z tematem, który

oczywiście przekracza siły jednostki. Musi cofnąć się do historii, o których wielu wolałoby zapomnieć. Okultystyczne zapędy hitlerowców, są czymś, w co nawet młody narybek nazimatołków nie chce specjalnie wierzyć... Wędrujemy więc od sytuacji do sytuacji, od zagadki do zagadki, od pytania do pytania. A układanka powoli przypomina tę, znaną najpierw z książki Święty graal, święta krew, a potem z bestsellerów Dana Browna. Jednak tajemnicy tytułowego ołtarza wyjaśnić się nie udało. Pytań pozostaje więcej niż odpowiedzi.

Kawał solidnej dziennikarskiej roboty. Szkoda, że sprawa nie jest bardziej nagłaśniana.

Sharon Osbourne

Zemsta



To druga książka napisana przez kobietę, która jest znana z tego, że jest żoną Ozzy'ego Osbourn. Bez niej Ozzy byłby już nikim, albo odgryzałby łebki nieto-

perzom w piekle. W *Ekstremalnej autobiografii* Osbourne'owa nie kryła swego tupetu, grubiaństwa i bezwzględności. W *Zemście* mam wrażenie, że w język literatury włożyła również swoje frustracje i jakieś prywatne rozgrywki.

No cóż historia, jak historia. Dwie siostry i do tego rywalizują... Nic nowego. Za scenografię robi Hollywood. Dla autorki to środowisko naturalne, w którym czuje się zapewne jak Forster w bagnach Florydy. Dam więc sobie dowolną kończynę odjąć, że autorka niewiele tu zmyśla. To jej codzienne obserwacje. Postacie drugo- i trzecioplanowe dramatu to przekrój przez gwiazdy i gwiazdeczki, czyli znajome i znajomi autorki? Mam prawo też przypuszczać, że jednych lubi, jednych gani, innych nienawidzi, prześladuje, kocha i co tam jej jeszcze do głowy mogłoby przyjść. Intryga jaka jest, każdy zobaczy, jeśli przeczyta. Bo mnie bardziej uderzyła warstwa emocjonalna (o literackiej taktownie zmilczę) – Sharon chętnie gardzi ludźmi! Bardzo mi to współgra z jej wizerunkiem w ostatnim jak dotychczas filmie o Ozzy'm! Kiedy tylko się pojawiła, miałem wrażenie, że ona go toleruje tylko dlatego, że musi.

Książka – kuriozum. Z cyklu, ktoś sławny postanawia pisać, mimo że niewiele ma do powiedzenia. Patrz: Ibisz, Cichopek, może niebawem Pudzian? Jego styl może być masywny. Ale! Wyraziłem się nie najlepiej o Sharon Osbourne! Co za odwaga. Sam się zastanawiam ile jeszcze pożyję... Przecież sama chełpi się tym, że nie daruje nikomu.

Neil McCormick

Killing Bono

★★★★★★



Najlepsza książka o U2, która wcale nie jest o U2.

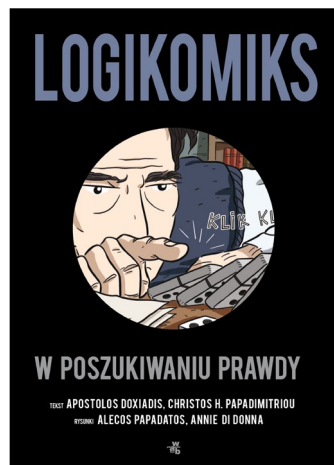
McCormick to muzyczny (i nie tylko) dziennikarz, który miał to (nie)szczęście, że był szkolnym kolegą Paula Hewsona, czyli Bono. Bono zgarnął wszystko, McCormick przez lata był w cieniu, na tyłach, czyli ciągnął ogony. Momentami było z nim naprawdę kruch. Przez lata jednak przyjaźń z Bono nie wygasła, a podsycana zdrową zawiścią, relacja przybierała nowe formy. Dziennikarz z dowcipem i dystansem – teraz to mu pewnie dużo łatwiej – opisuje swoje dni upadku i chwały. Przez karty książki przewijają się wiele znanych postaci i możemy poznać ich nie tylko od tej jasnej strony ludzi sukcesu.

Fani Bono&Colegów znają już pewnie tę książkę na wylot, czyli przestrzał. Ale i nie tylko oni z powodzeniem mogą się z nią zapoznać. Napisane nieźle, historie niby znane, ale podane na nowo. Coś nowego w zatęchłym bagienku.

**Apostolos Doxiadis.
Christos H. Papadimitriou.
Alecos Papadatos.
Annie Di Donna**

Logikomiks.

W poszukiwaniu prawdy



Komiks i podręcznik w jednym. Dokładnie – podręcznik logiki. Czyli rzecz przydatna, bo z myśleniem to jest średnio, a z logicznym wystarczy się rozejrzeć. Ostatnio w wiadomościach mądry pan powiedział, że: „trzeba się kierować jakąś rozsądną logiką.” Po prostu brawo.

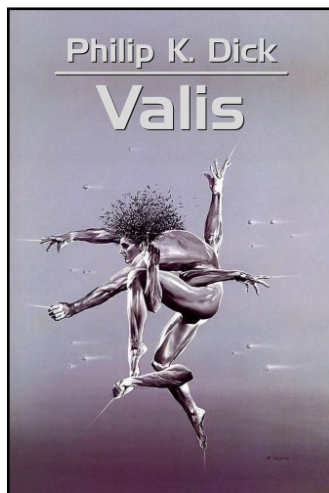
Już ze wstępu można wywnioskować, że Logikomiks to nie zwyczajna, przygodowa historia obrazkowa. Sami twórcy stają się bohaterami i opowiadają o tym, co chcieli stworzyć, jaka idea im przyświecała i co chcieli osiągnąć realizując ten projekt. Dzięki temu prostemu zabiegowi fabularnemu z łatwością czytelnik się wkręca w dalszą część historii, która dla nieuków może nie być już taka prosta. Ale to przecież komiks... Czyli obrazki

i dymki. Zatem, przy odrobinie dobrej woli można dać radę. Bo warto. Dzięki biografii Bertranda Russella, który starał się dociec podstaw prawideł matematyki poznajemy logikę, jej historię, a przy okazji wiele innych ciekawych postaci. Ciekawa to historia i frapująca. W mózgu mym pojawiła się również refleksja – ileż to ważnych rzeczy się dzieje, bądź działo, a o których niewiele wiemy, lecz mają wpływ na nasze życie. Pouczająca, a zarazem przystępnie skonstruowana historia.

Przeczytałem. Obejrzałem. Bardzo uważnie. Na koniec poczułem się mądrzejszy.

Philip K. Dick

Valis



Ponownie P.K. Dick w odmętach swego natchnionego Bogiem szaleństwa.

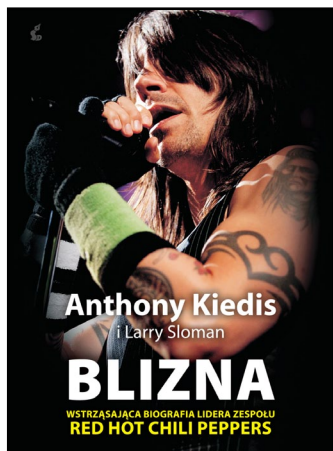
Czy powieść ta to jeszcze literatura science-fiction czy też traktat filozoficzny? Czy to zapis myśli szaleńca, czy ciężki znój literackiego geniuszu? Czy Dick rozmawiał z Bogiem, czy tyl-

ko tak mu się wydawało. A może to Istota Najwyższa przemawiała przez pisarza, a on tylko był jej mobilnym przekątnikiem? Czy świat jaki znamy jest realny, czy żyjemy w hiperświecie, a może jesteśmy tylko wielkim zbiorem hologramów?

Na te i inne pytania zalecam poszukać odpowiedzi w *Valis*. Jednak, jeśli ktoś sądzi, że znajdzie wyjaśnienia jednoznaczne ten jest błędzi. Lecz może to właśnie w błędzeniu jest metoda?

Anthony Kiedis. Larry Sloman

Blizna



Ależ mi się tytuły do recenzji trafiają... jak nie *Zemsta* to *Blizna*... Ale przyznaję, że na *Bliznę* to czekałem. Słyszałem o tej biografii Red Hota wiele dobrego, więc wznowienie ucieszyło mnie jak łajkę szczęśliwe lądowanie.

Red Hot ChiliPeppers wiadomo, kiedyś wielcy buntownicy w formie, treści i postawie – dziś wielcy komercyjni gracze. Kto był w Chorzowie na ich występie (2007 r.), ten powinien pamiętać lekcję pt. „Jak odwalić kon-

cert okazując fanom minimalne zainteresowanie”. To, co mnie zaskoczyło w *Bliznie* to jak bardzo byli buntownik ponoć z wyboru się ze sobą obecnie pieści. Bo wcześniej, jeśli dać wiarę, było ostro. Słynny numer ze skarpetkami na penisach to ledwie przygrywka. Zatem, mimo momentami cikliwego, sentymentalnego, a nawet uduchowionego tonu, w jaki uderza wokalista po *Bliznę* można sięgnąć, a nawet przeczytać ją od dechy do dechy. Jest seks, jest drugs oraz rock’n’roll. Ze wskazaniem na to drugie. W ilościach hurtowych.

Obszerne fragmenty książki są ciekawsze niż trzy ostatnie płyty Red Hotów razem wzięte.

Witold Jabłoński

Kochanek czerwonej gwiazdy



Oto powieść, która powinna się przy obecnym stanie Rzeczypospolitej sprzedać w co najmniej milionowym nakładzie. Okazuje się jednak, że wciąż jako naród jesteśmy tak konserwatywni, że wolimy tego typu prozy nie dostrzegać.

Ewentualnie traktować jako czyjeś wynaturzenie.

Młody kleryk zaplątany w romans z radzieckimi żołnierzami. Powiedzieć, że ta książka ocieka seksem, byłoby określeniem dalece zbyt skromnym. Ta książka lepi się od spermy. Ale kontekst historyczno-społeczny też jest ciekawy. Powieść ozdabiają ilustracje, które mogą co wrażliwsze dusze przyprawić o rumieńce sporego wagomiaru. Jedyny zarzut, jaki stawiam autorowi to, że momentami, podkreślam momentami, jakby zrezygnował z redakcji i pozostawił zdania, które ciągną się niczym zbyt długie nitki spaghetti.

Książka dziwna. Książka inna. Książka testująca tolerancję czytelnika wobec TYCH spraw.

Praca zbiorowa

Miecze i mroczna magia



Zbiór opowiadań fantastycznych. Opowiadań tak różnych, jak różni są pisarze, którzy wzięli w antologii udział.

Za najlepszą rekomendację mogą posłużyć nazwiska autorów. G. Cook, S. Erikson, M. Moorcock, R. Silverberg, G. Wolfe bądź T. Lee. Poza tym jest wszystko to, co miłośnicy fantasy cenią sobie najbardziej: pojedynki, bitwy, magia, czarownicy, wyprawy, skarby, lochy, potwory, trolle. Ponadto wiele dobrych dialogów, frapujących opisów, niezłych zakrętów fabularnych i pomysłów, jakie może pomieścić tylko formuła tego typu literatury.

Surzenko. Yann

Thorgal - Raissa t. 1



Do Thorgala nic nie jest mnie już chyba zrazić. Stałem się bezkrytyczny. Nawet brak nazwiska Rosińskiego nie zmienił postawy fana, który wciąż i wciąż jest na głodzie. W albumie niniejszym główną bohaterką zostaje córka Aricii i Aegrissona – Raissa. Mała dziewczynka musi zmierzyć się ze światem i jego przeciwnościami. Nieźle daje sobie radę. To prawdziwy wzór odwagi, przebiegłości i dzielności. Dziewczynka, podobnie jak rodzice,

popada w tarapaty, z których, by się wykaraskać, będzie potrzebować kolejnych pomocy ze strony przyjaciół. Przygodowa historia opowiedziana z nerwem i zacięciem. Lubię to – po-
wiem, gdyż nie interesuje mnie klikanie. Wolę poczytać i pooglądać.

Raissa to jak dotychczas najbardziej profeministyczny album serii *Thorgal*. Mimo, a może dzięki temu, że o tak małej dziewczynce.

Wiliam Shakespeare

Makbet



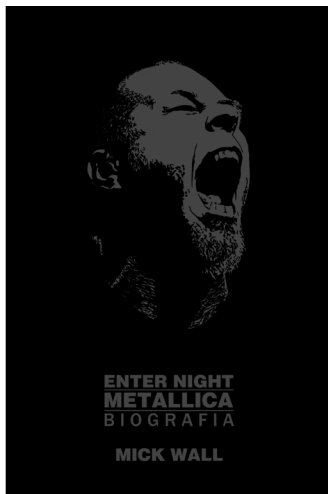
Wydawnictwo WAB pokusiło się na edycję dramatów Szekspira w nowym przekładzie. Seria rozpoczęła się właśnie *Makbetem*. Ciekawe, co kierowała redaktorami? Czy chcieli od razu dać trzęsienie ziemi? Nad nowym przekładem nie powinienem się, jako laik, wypowiadać. Lecz z punktu widzenia czytelnika to tłumaczenie, mam wrażenie, jest jakby nowocześniejsze. Czy-

ta się ten dramat, jak zwykle, jednym tchem. Tom uzupełnia esej historyczny i komentarz literacki. Nie żałuję, że przeczytałem, bo dowiedziałem się wiele ciekawego. A sam dramat – no właśnie czy to miejsce, by go choćby streszczać? To jeden z najlepszych tekstów Szekspira i gatunku.

Mick Wall

Enter Night.

Metallica - Biografia



Z Metallicą jest jak z U2. Co roku pisze się i wydaje pierdyliardy ich biografii. Oczywiście, tylko ułamek, jedna, albo wcale zdobywa zaszczytny tytuł – autoryzowana. Z poziomem publikacji bywa więc różnie, a „autoryzacja” często wcale nie oznacza, że książka będzie lepsza.

Mick Wall to muzyczny dziennikarz, który jak nie pisze do jakichś gazet muzycznych, to pisze książki o muzyce. Lekkości i jakości pióra nie sposób mu odmówić. Znajomości tematu również.

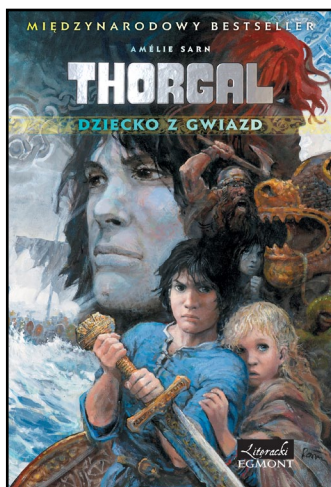
Zabrał się za Metallikę, jakby to byli jego kumple. Tę biografię czyta się naprawdę dobrze. Dużo faktów, smakowite szczegóły, brak nastawienia na plotkę, raczej na rzeczowy reportaż. Dobra robota i tyle.

Problem polega na tym, że to wszystko już było w innych książkach. Aby ocenić tę pozycję wyżej, musiałyby się Lars, James i Kirk naprawdę nieźle skupić i powiedzieć Wallowi coś, czego wcześniej gdzieś już nie było.

Amelie Sarn

Thorgal - Dziecko z gwiazd

♦♦♦♦



Historię znaną z komiksowych albumów znacznie uproszczono, tak by trafiła do jak największej liczby odbiorców – przede wszystkim dzieci. To, co jeden kadr przedstawiał w ciekawy sposób, tu trzeba opisać, wyjaśnić, doszczegółowić... Jak dla mnie trochę za bardzo kawa na ławę. Sytuacji nie ratuje nawet kilka scen, których próżno

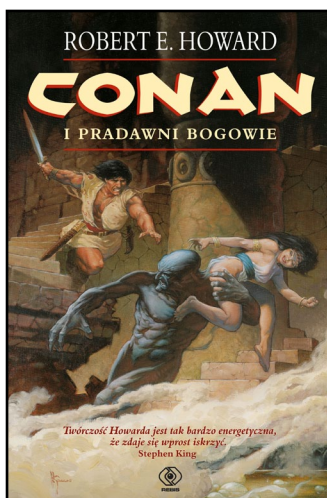
szukać w komiksowym pierwowzorze. Podejrzewam, że będzie ciąg dalszy, lecz ja chyba sobie odpuszczę. Wolę śledzić losy wikinga z kosmosu w dotychczasowej wersji. Rozumiem jednak, że powieść może zdobyć serca i kieszenie nowych czytelników. I dobrze, bo Thorgal to postać, która może stać się wzorem. Jego podejście do ludzi, świata, a nawet bogów oraz wszelkich kłopotów, jakie ze sobą niosą zasługuje na szacunek i naśladowanie.

Moim zdaniem, gdyby Thorgal istniał naprawdę, to spokojnie by się dostał do GROM, Seals czy innego SpecNaz. I jeszcze dowódcą by został.

Robert H. Howard

Conan i pradawni bogowie

♦♦♦♦♦♦♦♦♦♦



To będzie recenzja szybka jak śmierć, którą Conan zadaje swym wrogom.

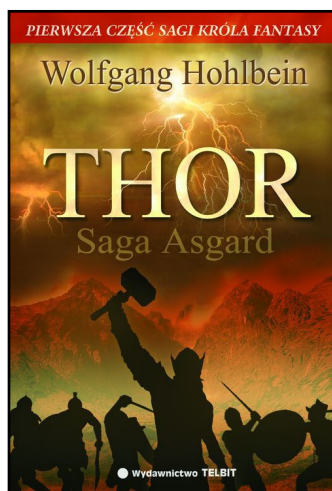
Conan to protoplasta współczesnych superbohaterów. Prosta filozofia siłacza z gór nakazuje mu w jednej ręce trzymać zrabowany skarb, w dru-

giej zdobytą przemocą książniczkę (księżniczka najczęściej bywa pojmana uprzednio przez jakiś zbójów). Biegnąc w stronę zachodzącego Słońca Conan przy okazji z sukcesem (tj. trup kładzie się gęściej niż gęsto) opędza się od hord ludzkich bądź nieludzkich przeciwników. Conan opędza się mieczem, włócznią, maczugą lub toporem tak wielkim, że nikt inny by tego oręża nawet nie podniósł. Conan również – co chyba oczywiste – zawsze zwycięża.

Ekskluzywny tom rozpoczyna serię dzieł Howarda. Edycja tym ciekawsza, że maksymalnie upodobniona (w tekście, ilustracjach, a nawet celowych błędach) do oryginałów z lat 30. Na Croma! Kiedy kolejne tomy?

Wolfgang Hohlbein

Thor - Saga Asgard



Podczas Magic Circle Festival w roku 2008, który swoim fanom podarował jedyny zespół grający prawdziwy heavy

metal, czyli Manowar (zwany również Samowar lub Jajowar), Joey DeMaio w kwiecistej przemowie godnej Fide-la Castro obiecał, że Manowar teraz stworzy co najmniej trylogię fantasy. Na projekt będzie się składać gra, powieść i płyty. Płyt nowych brak, gra też nie wyszła. Z zapowiedzi wywiązuje się tylko niemiecki pisarz fantasy – W. Hohlbein, który smaruje tom za tomem. Jego *Thor* to wkład w fabułę mającą być muzycznie eksplorowaną przez Manowar.

Hohlbein z pewnością zasiądzie w Valhalli pośród pisarzy, którzy imponują ilością swych dzieł i ich objętości. Pierwszy tom Thora to ponad 800 stron tekstu. Do dziś autor opublikował blisko 300 książek. Urodził się w 1953 r. więc jak łatwo policzyć – gdyby pisał od 1 roku życia, co roku musiałby napisać 5 książek. W literaturze taka masa słów raczej nie przechodzi w jakość. Tak też jest z *Thorem* – to sztampowa historia bohatera, który się zмага. W dodatku dźwży w dłoni młot (symbol Manowar). A poza tym wszystko jest proste jak cios tym toporem.

Istnieje pewna grupa czytelników, którzy takie dzieła chłoną i zawsze jest im mało. Na ich szczęście niemiecki król fantasy nie pisze książek grubych – on pisze książki potężne.

Opracował: Dawid Brykalski

Thriller dla nastolatków

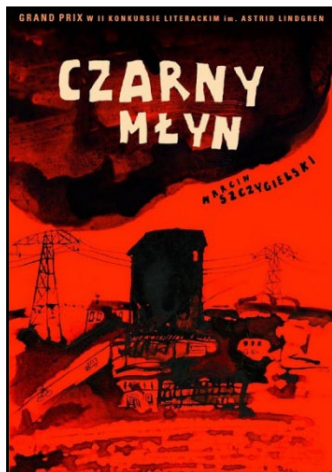
Współczesne nastolatki, wychowane na *Harrym Potterze* i horrorach typu wszystkie części *Piły* czy *28 dni później...* mają zupełnie odmienne podejście do powieści niż starsze pokolenia. Nie dla nich *Ania z Zielenego Wzgórza* ani *Tomek na tropach Yeti*. Lektura musi dostarczać wrażeń podobnych do filmowych, fajerwerki muszą być odpalane co kolejny rozdział, aby młodzież nie znudziła się zbyt szybko i chciała przeczytać książkę do końca.

Wielu autorów tworzących dla nastolatków ma trudne zadanie do wykonania. Oczywiście, zawsze znajdą się amatorki powieści dla dziewcząt, typu *Pamiętnik księżniczki*, pisanych i czytanych na metry. Bądźmy jednak nieco

bardziej wymagający i zadajmy sobie pytanie: czy możliwe jest połączenie wspomnianych filmowych fajerwerków z ciekawą i etyczną treścią? Otóż jest.

Oto główny bohater, Iwo, jego siostra Mela i czworo przyjaciół: Piotrek, Natalia, Karol, Justyna oraz Paweł, odkrywają, że w ich rodzinnej wsi Młyny zaczyna dzieć się coś dziwnego. Dorośli zdają się tego zupełnie nie zauważać, a potem zaczynają znikać w niepokojących okolicznościach. Razem z nimi znikają też przedmioty domowego użytku, radio, telewizory, lodówki, a nawet stare, rozklekotane samochody. We wsi pozostają tylko dzieci oraz przygłuchawa babka Iwa. I to dzieci muszą stawić czoła niebezpieczeństwu, wykazać się odwagą i sprytem w obliczu rosnącego w siłę zła.

Młyny są małą wsią na zapyziałej prowincji Wielkopolski. Kiedyś były zapleczem dla kombinatu spółdzielni rolniczej, która po przemianach ustrojowych w Polsce popadła w ruinę i zapomnienie.



Marcin Szczygielski
Czarny młyn

Profesjonalnie wydajemy książki, albumy, czasopisma.

Czynnie angażujemy się w działalność społeczną i charytatywną.

www.ekwita.pl
www.ksieznickapolinka.pl

Wydamy Cię!

Outsourcing wydawniczy * Książki na cele charytatywne

Szczątki kombinatu i jego wielkiego młyna straszą całą okolicę. Dosłownie i w przenośni. Bo to właśnie młyn będzie stanowił centrum, wokół którego skupia się cała akcja. Wieś i okolice wydają się jakby umieszczone w takim polskim trójkącie bermudzkim – z jednej strony kombinat, z drugiej mokradła, a z trzeciej autostrada. Znikąd pomocy, w dodatku temperatura spada poniżej zera i sypie śnieg, choć jest środek wakacji.

Od początku mamy do czynienia z poczuciem izolacji, które tylko się pogłębia. Czy to nawiązanie do aktualnego stanu polskiej wsi, z której najlepiej emigrować do miasta lub za granicę? Rzadko spotykana atmosfera w książce dla młodzieży, standardem są raczej sielskie obrazy wakacji spędzanych u rodziny i pierwszych

miłości na tle sianokosów. Natomiast w *Czarnym młynie* trochę jak u Hitchcocka – zaczyna się mocnym uderzeniem i napięcie tylko rośnie. Momentami odnosi się wrażenie, że twórcy filmowych thrillerów powinni uczyć się budowania atmosfery od Szczygielskiego.

Autor z kilkunastoma już powieściami na koncie, w tym dwiema dla młodzieży, ma niebanalne podejście do współczesnych nastolatków. Jednocześnie z ręką na sercu można jego książkę polecić osobom powyżej dwudziestego roku życia, ponieważ powieść ta broni się intrygującym klimatem, bogactwem wyobraźni i co najważniejsze – całym wachlarzem współczesnego słownictwa w pięknym, literackim wydaniu.

Karolina Joisan

Niech Cię mrok pochłonie...

Rynek książek fantasy, przesycony pozycjami miernymi lub zaledwie dobrymi, kopiami z Tolkiena i kompilacjami z Lewisa, rzadko daje okazję do odkrycia czegoś zupełnie nowego. Taką miłą odmianą okazuje się *Malowany człowiek*, pierwsza część *Demonicznego Cyklu* Petera V. Bretta, debiutującego 3 lata temu na świecie i niedawno w Polsce.

Rynek książek fantasy, przesycony pozycjami miernymi lub zaledwie dobrymi, kopiami z Tolkiena i kompilacjami z Lewisa, rzadko daje okazję do odkrycia czegoś zupełnie nowego. Taką miłą odmianą okazuje się *Malowany człowiek*, pierwsza część *Demonicznego Cyklu* Petera V. Bretta, debiutującego 3 lata temu na świecie i niedawno w Polsce.

Styl Bretta już na pierwszy rzut oka polskiemu czytelnikowi powinien przypomnieć takiego autora jak Feliks W. Kres. Obaj twórcy wykreowali mroczne a jednocześnie przemyślane światy fantasy, w których trudno spotkać piękne elfy czy rycerzy w lśniących zbrojach. Rzeczywistość u Bretta, jak również Kresa ma swój własny rdzeń ideowy, który choć ubrany w magię i swoistą nadprzyrodzoność, jest mocno przyziemny, wręcz prozaiczny. Większość bohaterów ma na co dzień do czynienia z magią, ponieważ ich życie zależy od działania magicznych runów, lecz częstokroć zwykły



Peter V. Brett
Malowany człowiek

przypadek lub los wpływa na nich dużo bardziej. Brud, ubóstwo, życie w cieniu dawnej upadłej cywilizacji, niemożność zmiany swojej sytuacji życiowej, ciągła walka o przetrwanie w każdym możliwym aspekcie – oto czym częstuje życie

najczęściej i czego twórcy nie odmawiają postaciom, bo to właśnie ta prozaiczność buduje jakże pożądaną prawdziwość bohaterów.

Brett zbudował swoją opowieść na walce dobra ze złem. Obok ludzi występują demony, pojawiające się nocą, przed którymi bronią jedynie magiczne runy. Demony, zwane przez ludzi Otchłāńcami lub Alagai, są ucieleśnieniem zła. Mają one też być karą zesłaną na ludzi za ich wcześniejsze grzechy. Ten dualistyczny model świata na szczęście załamuje się w kontekście bardzo zróżnicowanych bohaterów. Otchłāńce, podzielone na rodzaje, niczym (oprócz siły i wzrostu) się od siebie nie różnią. Natomiast ludzkie portrety w wydaniu Bretta to mistrzostwo konstrukcji psychologicznej.

Pierwsza część cyklu opisana jest z perspektywy trzech bohaterów, Arle-

na, Leeshy i Rojera. Każdy z nich wyróżnia się spośród swoich pobratymców jakąś ponadprzeciętną umiejętnością. Lecz tym, co sprawia, że są jednostkami wybitnymi, jest brak strachu. Nie boją się demonów i wychodzą im naprzeciw. Walczą z nimi i szukają sposobu na pozbycie się ich w ogóle. Wlewają tym sposobem otuchę w serca innych ludzi.

Malowany człowiek to dopiero początek przygody z prozą Petera V. Bretta. Początek, który wciąga czytelnika, nie pozwalając mu oderwać się od niesamowicie barwnej historii i intrygujących bohaterów. To świat zdecydowanie wart poznania, a kolejna część – Pustynna włóczęga, rozszerza krąg postaci oraz dodaje kolejne wątki, które przywiązują do siebie czytelnika coraz bardziej i bardziej.

Karolina Joisan

Zgłoś się! *na praktyki*

*Naszym praktykantom proponujemy **rzeczywisty udział** w procesie wydawniczym. Udostępniamy obszerne i interesujące **materiały edukacyjne**. Czas trwania praktyk wynosi dwa miesiące, a całość odbywa się wyłącznie **on-line**.*

*Dla chętnych przygotowaliśmy dwa programy praktyk: **dziennikarskie** oraz **edytorskie**.*

*kontakt: **praktyki@alterpop.pl***

Mały Brat PATRZY

Wydarzenia z **11 września** zmieniły sposób postrzegania rzeczywistości na całym świecie. Bezpieczeństwo państwa i społeczeństwa zaczęło być nadrzędne wobec zabezpieczenia prywatności jednostki. Jednostka musiała podporządkować swoją wolność osobistą restrykcyjnemu prawu, które miało służyć wszystkim. Jeśli coś ma służyć wszystkim, to nie służy nikomu. Albo służy tylko wybrancom, którzy mają w tym swój bliżej niesprecyzowany, prywatny cel.

Nawiązując do ataku z września 2001 roku, Doctorow wprowadza do swojej książki podobne wydarzenie. W nieokreślonej przyszłości zostaje wysadzony most w San Francisco. Nie jest to sławny Golden Gate, ale Bay Bridge, który łączy główne miasto m.in. z Berkeley – uniwersytetem, który jest miejscem pracy wielu mieszkańców miasta. Wysadzone zostaje także metro. Następuje kompletny paraliż. O śmierć i zaginięcie tysięcy osób zostają oskarżone różne organizacje terrorystyczne, z Al Kaidą na czele.

Jeśli przed atakiem władze przesadzały ze środkami bezpieczeństwa i wszędybylskie kamery oraz czujniki jedynie irytowały, to co następuje potem, można nazwać tylko w jeden sposób: pełnoprawną inwigilacją. Przekonuje się o tym niepokorny nastolatek, Marcus Yallow oraz jego przyjaciele. Z typową dla młodych swadą oszukują system, by móc poczuć odrobinę wol-

ności. A także by pograć w grę łączącą w sobie rzeczywistość ze światem wirtualnym. Właśnie podczas jednej z sesji, gdy są na wagarach, dochodzi do wybuchu. Przez swoją naiwność trafiają w ręce oficerów Departamentu



Cory Doctorow
Mały Brat

Bezpieczeństwa Wewnętrznego, jako podejrzani. Tak, jako współorganizatorzy zamachu terrorystycznego. Licealiści, przetrzymywani w tajnym więzieniu, bez dostępu do telefonu, możliwości rozmowy z rodzicami lub chociażby adwokatem, pod przymusem mają się przyznać do wszystkiego. Czyli do współudziału. Oficerów nie interesuje, że Marcus i przyjaciele znaleźli się po prostu w nieodpowiednim miejscu w nieodpowiednim czasie. Dla nich są przestępcami.

Poniżenie, jakiego doznają nastolatki podczas pobytu w więzieniu, to nic w porównaniu z permanentną inwigilacją, jaka następuje po ich powrocie do domów.

Osobiste komputery na podsłuchach, śledzenie i paranoiczny strach przed własnym rządem. Dorośli, rodzice i nauczyciele traktują ten stan rzeczy jako coś, co można jeszcze zaakceptować, byleby czuli się bezpiecznie. Marcus nie może tego zrobić. Działania mające na celu walkę z terroryzmem tak naprawdę uderzają w prawa obywatelskie, w podstawowe prawo do wolności osobistej. Marcus postanawia, z mniejszym i większym skutkiem, rzucić wyzwanie własnemu rządowi, i jeśli go nie pokonuje, to na pewno ośmiesza metody, jakimi dławi najmniejszy nawet przejaw samodzielnego myślenia.

W dobie obecnych możliwości technicznych zdajemy sobie sprawę z tego, że można nas śledzić 24 godziny na dobę. Nasi pracodawcy zakładają

programy śledzące strony internetowe, z których korzystamy w pracy, wszędzie są kamery, które mają nam dawać poczucie bezpieczeństwa, a w rzeczywistości niejednokrotnie doprowadzają nas do poczucia bezsilności. Nie mówiąc już o tym, jak można prześledzić naszą aktywność poprzez zakupy, jakich dokonujemy kartą płatniczą.

Cory Doctorow w prosty sposób rozwija fabułę, prowadząc czytelnika od jednego punktu do kolejnego. Ma

Działania mające na celu walkę z terroryzmem tak naprawdę uderzają w prawa obywatelskie, w podstawowe prawo do wolności osobistej.

jednak tę specyficzną umiejętność przyciągania, dzięki czemu nie można odłożyć tej książki nie przeczytawszy jej do końca. Doctorow pisze dla odbiorcy obeznanego w wirtualnym świecie i w nowinkach technicznych. Nawiązując do postaci hakera w popkulturze, posługuje się wieloma terminami z cyberpunkowego słownika. Na szczęście potrafi też je wytłumaczyć laikowi. Z jednej strony może to być uznane za zbyt uproszczenie, ale nie bądźmy purystami, jeśli nawet używamy laptopów, tabletów czy smartfonów, to niekoniecznie musimy wiedzieć, jak funkcjonują. Ważne jest to, że mają one służyć nam jako medium do rozwoju, a nie jako środek inwigilacji.

Karolina Joisan

Brykalski



Zaleska

Szalony Mad Max

Data: rok około 2011.

Miejscowość: Olkusz.

Kierowca: *Chłopak tak młody, że aż zacząłem się zastanawiać: co on robi na taksówce? Może brak perspektyw?*

Samochód: *Jakaś chyba podrasowana Honda. Taka przybajerzona bajeranckimi bajerami. I sadząc po pracy silnika, również w nim dokonano pewnych zmian. Na przednim fotelu jakiś podręcznik akademicki i brulion, w którym kierowca coś pośpiesznie notował zanim wsiadłem.*

Wracałem wtedy już nawet nie pamiętam skąd, ale wiem, że byłem cholernie znudzony. Nie chciało mi się za bardzo rozmawiać. Jednak to kierowca zaczął pierwszy.

– Pan to chyba z innego miasta do nas przyjechał?

– Tak, ale już wracam...

– Czyli na dworzec. Jedziemy. Od razu wiedziałem. Widzę, że pan po studiach i taki lepszy...

– Niech pan nie przesadza – odparłem szybko, bo rzeczywiście przesadzał. – A studia owszem, jakieś tam nawet mam...

– No właśnie. Bo widzi pan, ja też nie chcę tak na tej taksówce skończyć... Więc poszedłem na studia.

– Świetnie, na pewno się to panu do czegoś przyda. A jaki kierunek?

– Marketing i zarządzanie, ponoć najlepiej po tym płacą. Ostatnio dostałem nawet ocenę bardzo dobrą za esej „Reklama dźwigarem handlowania powszechnego”.

No tak, bezrobotnych absolwentów tego kierunku jest tylu, że lepiej nie będę mu tego mówił, zdecydowałem.

– Ale, wie pan – kontynuował kierowca. – Ja to raczej taki ambitny jestem i dlatego postanowiłem, że będę

sam też się rozwijał... I że zostanę *copywriterem*. I będę scenariusze do reklam telewizyjnych pisał. Bo one mi się takie głupie niektóre wydają...

To mi się już spodobało o wiele bardziej!

– Co racja, to racja. Ja prawie telewizji nie oglądam, ale jak już się zdarzy, to aż mną trzęsie.... A najgorzej jak filmy przerywają. I okazuje się, że gdy Frodo właśnie ma wrzucić pierścień, to zaczyna go gonić jogurt, a potem jakiś proszek do prania... To ogłupia! Burzy scenariusz oraz koncepcję. Jak można w „Ucieczce z Sobiboru” nadawać reklamy celofanu do pieczenia?

– Tak jest! Tak jest! A ile czasu to zabiera... O mój Boże, jak się cieszę, że wreszcie ktoś myśli tak jak ja! Ale ja to chciałbym takie ambitne scenariusze do reklam pisać... Jak by pan chciał, to mogę jeden przeczytać, a może jak się spodoba, to by mnie pan gdzieś u siebie polecił?

Chłopak może daleko zajść. W sumie ma biznesowe podejście i od razu przechodzi do rzeczy. Tymczasem minęliśmy już słynną basztę i zachowany kawałek dawnych murów. Stanęliśmy na świątłach. Zaśmiałem się tylko i odpowiedziałem:

– Pan coś przeczyta. Ale! Nic nie obiecuję...

Kierowca zanim ruszył otworzył swój notatnik, szukał czegoś przez chwilę.

– O, mam! To będzie reklama tabletek od bólu głowy... No więc. Taki typowy Polak: brzuchaty, wąsaty, po czterdziestce, w koszuli w kratę przychodzi do domu. Po robocie. A tam czeka na niego w sypialni nieco roznegliżowana małżonka. Biustu jej kawałek widać. Może nóżki. Nic więcej. Same sugerujące sugestie... W tle *Carmina Burana*...

Zna pan, na pewno pan zna. Ten słynny, podniosły fragment z chórem. Ta ta ta ta! TAA TAA! Ta ta ta ta! TAA!! TAAA!! – zaczął naśladować melodię.

– Tak, znam, to fragment *O Fortuna*. Mocny początek...

– I ona ma powiedzieć, że na imię Zofia, a on powie, że Zdzisiek. I wyraźnie, bo tak się patrzy na niego, ma ochotę, no wie pan... Starsi ludzie też przecież mogą, bo to jednak ludzie. I on się pyta: *Ale gdzie dzieci?* A ona, tak zalotnie: *do kina ich wysłałam, chodź tu do mnie szybko, mój ty tygrysku!* Tu muzyka głośniejsza. I wtedy ten hipotetyczny Zdzisiek łapie się za głowę i jęczy: *ojej, ale tak mnie dziś głowa boli...* A wtedy ta przysłowiowa Zośka się do niego przybliża, przytula i tak się owija, no i szepcze osobiście: *mam coś, co natychmiast ci pomoże*. Podaje mu opakowanie rzeczonych tabletek. Kamera lekko muska zsuwający się biustonosz. On się patrzy na tabletki, a potem na nią, w tle piosenka zespołu IRA *Bierz mnie*. To wielki przebój był. No i mężczyzna bierze te proszki, one tak na niego działają, że się rzuca na Zośkę, a ona aż piszczy z uciechy. Cięcie. Koniec.

Jeszcze tylko opakowanie tych pastylek w dużym powiększeniu i jakiś mocny akcent na finał. Aha, i muszę gdzieś wpasować ten tekst o tym, że spytaj się lekarza bądź farmaceuty... Wie pan, o co mi chodzi na pewno. No i co pan myśli o tej mojej reklamie? – tyknął na mnie w lusterko.

– No, nie powiem, zaskoczył mnie pan... To jest bardzo... bardzo... – szukałem odpowiednich słów. – Odważne, ekstrawaganckie i takie... Postmodernistyczne.

– Ha! Czyli się spodobało!?

– A może ma pan coś jeszcze? Tak po pierwszym razie to trudno ocenić... – jakoś wybrnąłem.

Wiedziałem, że dworzec PKS musi być gdzieś blisko, więc zaraz moje mordęgi się skończą. Tylko nie wiem, w Olsztynie to chyba same czerwone światła są, pomyślałem.

– Mam, mam! A jakże bym nie miał nie mieć! – wertował kartki zeszytu i jednocześnie prowadził. W normalnej sytuacji może bym mu zwrócił uwagę, ale tu znów czerwone. Szybciej bym na pieszo doszedł.

– No to tak. Pan wie najlepiej. Kobiety w reklamach są uprzedmiotowione. To znaczy występują tylko jako przydatki, sprzęt do sprzątania, prania, prasowania, odkurzania, gotowania, mycia naczyń oraz okien. Czasy niewolnictwa już dawno za nami, a tu proszę... To nieludzkie. Upadające kobiety.

– Dlaczego? – w sumie taksówkarz miał całkiem przytomne spostrzeżenia.

– Bo ja to uważam, że takie reklamy źle traktują kobiety. One najpierw się narobią, a potem co? Nic. Proszek ten czy ów zostanie pokazany, płyn gdzie trzeba skapnie, a kobieta nic z tego nie ma. To buduje zły wizerunek drugiej płci. Bo w finale, proszę pana, to te biedne kobiety nic tylko porównują, porównują i porównują.

– Ale co porównują?

– No, to co tam sobie nasprzątały czy namyły. Pan się przyjrzy uważnie następnym razem. One tak w nieskończoność porównują. To musi być strasznie poniżające. Dziwię się, że jakieś organizacje feministek nie protestują...

– Jaka jest pańska propozycja na reklamę takich środków?

– Oooooo, proszę pana! – rozparł się wygodnie, dumny z siebie. Tym bar-

dziej, że znów staliśmy na czerwonych. Kto w takiej miejscinie tyle skrzyżowań pobudował? – Ja to mam po prostu prawdziwy hit! Hit hitów!! Nadhit!!!

– W słuch się zamieniam... I postaram się sobie wszystko detalistycznie wyimaginować...

– Więc tak. Tu też musi być akcja. Wymyśliłem więc cały taki tryptyk. Trzy reklamy. Pod różne produkty można podpiąć. Zatytułowałem mój cykl na razie roboczo „Reklamy o kobietach dla kobiet”. Opowiem panu jedną. Najlepszą, moim skromnym zdaniem. Więc tak. Żona siedzi. Fotel, gazeta, kawka, nóżki podparte, małe ciasteczko jakieś, bo przecież nie beza, żeby się źle nie kojarzyło. Całkowity wypoczynek i relaks. Luzik. Popołudnie jak marzenie.

Teraz cięcie. Zmiana planu. Ale pokój, salon ten sam.

Mąż zapycha przy myciu okna i balkon. Ale zasuwa! Jak jakaś maszyna do mycia okien normalnie. Szoruje jak majtkowie pokład. Kiedy kończy, odwraca się i woła: *kochanie! Okna czyste jak łza*. Jednym słowem jest między tą parą jakaś chemia!

Znowu cięcie. Zbliżenie na żonę.

Posyła mu ciepły uśmiech. Ale nie wyuzdany. Może też odstawić eleganczką filiżaneczkę na spodeczek. I mówi, takim miłym, kobiecym głosem: *wspaniale misiaczku. To teraz jakbyś mógł sprzątnąć całą łazienkę i toaletę...* I dalej sobie czyta. Kobiety zasługują na to, według mnie.

Cięcie. Na ostro tak. Żeby było dynamicznie!

Mąż. Zakasa rękawy, podwija nogawki, podkreca wąsa. Bierze co tam potrzebuje, tu miga logo płynu po raz pierwszy, cieszy się jak dziecko. Woła radośnie, e tam radośnie, muszę skre-

ślić – powiedział do siebie kierowca, coś pomazał w zeszyście i tak staliśmy na światłach. – Krzyczy entuzjastycznie: *kochanie! Już leć! Dla ciebie zaraz wszystko będzie czyste jak ła!*

Ostateczne cięcie. Wie pan, dobra reklama musi przełamać stereotypy myślenia.

Zbliżenie na ekskluzywnie zaprojektowaną butelkę. Oświetlona jak przy rozdaniu jakichś Oscarów. Butelka to, na razie roboczo, uniwersalny, wszyskocyszczący płyn ła. No i haśła: „I wszystko czyste jak ła! Z przyjemnością! Dla ciebie, dla rozumu!” – coś się chyba kierowcy pomyliło, tak rozpalił się swoja wizją, ale postanowiłem nie przerywać. Cięcie ostateczne zobowiązuje. – A w tle muzyka. Jeszcze nic skonkretyzowanego nie wybrałem, ale chciałbym kupić prawa do jakiejś piosenki zespołu ły. Wie pan, żeby był dobry kontekst. Co pan myśli o całości?

– Pan tylko nie kupi jakiejś łzawej, kliwej ballady. Pościelowa tu nie pasuje – zażartowałem delikatnie, by go nie urazić. – Poza tym wszystko OK. Bardzo mi się podoba. Feministki na całym Świecie wezmą to jak w dym!

– Super!

W międzyczasie ujechaliśmy z pięćset metrów. Gdybym wiedział, ile jeszcze do dworca, pewnie bym wysiadł i poszedł na piechotę. Olkusz nie może być aż tak wielki...

– Ale wie pan. Przed panem ogromne wyzwania. Sam słyszałem, jak w jednej reklamie ostatnio powiedzieli, że coś tam, coś tam „zapobiega porannej sztywności”. W dodatku produkt był dedykowany mężczyznom... – powiedziałem, bardziej by przerwać ciszę niż z jakiegoś innego powodu.

– Moim skromnym zdaniem do sukcesu w reklamie oprócz *targetu* potrzebna jest STRATEGIA...

– Pewnie ma pan jakąś opracowaną...

– Tak. Oczywiście – bez cienia wahania odparł młodzieniec. – Zasadniczo nie należy puszczać reklam leków jednej po drugiej. Te wszystkie zaparcia, osteoporozy, wzdęcia, nietrzymanie moczu, żylaki, bóle głowy, alergie, grypy, rwące non stop mięśnie, gorączki, łupież, hemoroidy, kleje do protez zębowych, kaszle, katary, zespoły suchego oka, próchnice, skrzywienie wszystkich stawów, problemy z prostatą, stresy i nerwice, chłoniaki... To jest gruba przesada. Jakby człowiek tak wziął wszystko na raz, to by normalnie zszedł. I to właśnie ludzi zniechęca, bo ludzie zasadniczo lubią mieć wybór.

– A wie pan, nigdy nie myślałem o tym w ten sposób...

– Sam pan widzi. Takie czasy nastały. Bida z nędzą do nas pędzą. I gorsi są jeszcze źle dobrani celebryci. Na przykład ta cała Dorota, jak jej tam, chyba Wellman. Jak ja na przykład jem jogurt, to chcę myśleć o jogurcie. Może jeszcze o tym, czy kurs jaki szybko dziś złapię. A Dorota Wellman to chyba ostatnia osoba, o której wypróżnianiu czy zaparciu ludzie chcieliby myśleć jedząc jogurt!

– Ma pan rację! – szczerze przyklasnąłem chłopakowi. Będą z niego ludzie. – To całkiem nieciekawym reklamowy *kontent*. Osoba i cała reklama wyjątkowo niesmaczna.

– Dodatkowo to ja panu powiem, całkiem prywatnie powiem, że kiedyś to z kolegami oglądałem no taki portal czerwona tuba czy jakoś tak. I tam, wie pan, jakie są akcje. Seks i tak dalej. Ale są też takie nienormalne. Chłopaki się

śmiali. No i na jednym filmie to jedna niemiecka baba, taka całkiem jak ta Wellman, to facetowi tak na klatę centralnie... Jak nie wiem co, bo przecież nie zwierzęta, bo zwierzęta tak nie robią. To było jednak dla mnie zbyt germańskie. Ja to nawet po wódce nie dałem całości obejrzeć do końca.

– Rozumiem... Potworność. Już nigdy nie kupię tego jogurtu.

– No, dworzec już widać. O której ma pan ten autobus, żebyśmy go nie musieli gonić na trasie?

– Coś koło szesnastej, chyba zdążymy. Tylko biletu jeszcze nie kupiłem...

– Zdążymy, zdążymy. Proszę pana, jakby było trzeba, to ja bym pana i do samego Gdańska zawiózł! Tylko niech pan o mnie pamięta. Jacek z Olkusza, marketing i zarządzanie. Wieczorowo! Bo od rana za kółkiem. Zarobić, wiadomo, trzeba. Wiem, że pewnie jeszcze mi sporo brakuje do najlepszych, ale ochotę mam i sam pan najlepiej wie. Kreatywność to jest to! A kreatywności to ja mam normalnie sam nie wiem, ile jej mam.

– Zgadzam się. Długo będę pana pamiętał...

– No kapitalnie. To ja panu jeszcze ostatnią reklamę mojego autorskiego pomysłu opowiem, dobrze? – popatrzył prosząco. Do dworca było z trzysta metrów, ale i tak staliśmy na czerwonym.

– Pan opowiada, byle już nie o Wellman i jej wypróżnianiu, błagam...

– Bez obaw. Ten scenariusz napisałem specjalnie dla karmy dla zwierząt. Może być dla jamników, kotów albo chomików. To już od zleceniodawcy będzie zależeć... No więc. Pamięta pan taki film *Szalony Mad Max*?

– Taaaak. Oczywiście, były trzy części *Mad Maxa*, a w ostatniej wystąpiła Tina Turner. Taki w sumie przygodo-

wo, fantastyczny, katastroficzny... Udana produkcja.

– Właśnie. A pamięta pan, czym się pierwszy film zaczyna?

– Nie...

– I oto mi chodziło! Nikt nie pamięta, a ja tam znalazłem ciekawą, inspirującą inspirację. Otóż Szalony Mad Max grany przez Gibsona Mela bodajże, zajada się puszką karmy dla zwierząt! Z apetytem! U mnie też tak będzie. Najpierw pustynia. Pustynia, pustynia, pustynia. Kompletnie pusta. Piasek, wydmy i pustka. W tle może jakieś delikatne ruiny. Totalna cisza na planie.

Cięcie i zbliżenie.

Bohater, taki archetypiczny, trochę na obskurnego punka zrobiony, zajada rękoma mięso z puszki. Nie ma czym popić, ale je, jakby był głodny jak wilk. W tle muzyka. Myślę, że najlepiej byłoby dać Ozzy'ego Osbourne'a *Bark At The Moon* z płyty pod tym samym tytułem jakby co. Nie jestem tylko przekonany, czy to aby nie nazbyt oczywiste, pogadam w weekend z profesorem od rynków.

Kamera odjeżdża na najbliższą wydmy na tej pustyni. Widzimy, że bohater kończy jeść, a jemu, jak tak jadł cały czas, przygląda się taki wielki dziki kot. Ale normalnie taki mutant z przyszłości. Popromienny. Lecz niebrzydki. Jak to koty, ma swój wdzięk i rusza z taką niewysłowioną gracją. Ogon napięty jak struna i tak mu chodzi na boki. Oczy mu gorzeją. W domyśle zostawiam widza, że z głodu.

Bohater patrzy na kota. Kot patrzy na bohatera. Widać po wzroku, że iskrzy między nimi.

Muzyka się urywa. Słychać warkot silników. Zza wydmy na jakichś pokracznych motocyklach, niby au-

tach, przerobionych quadach i innym atrakcyjnym wizualnie dla odbiorcy złomie wynurza się banda. Obwiesie, że strach się bać. W tle muzyka. Nie mam pomysłu.... Może pan coś zaproponuje?

– *Hey Stoopid* Alice Coopera? „Born To be Wild” Steppen Wolf? Pan powie, ile płacę, reszty nie będzie trzeba. Bo następny autokar mam po dwudziestej...

– Cooper może być. Pan da trzy dychy i będziemy kwita. Przecież z pana nie zedrę. Ale końca nie chce pan poznać?

– Chcę, ale baaardzo proszę się streszczać.

– Dobrze, dobrze. No więc banda coraz bliżej. Bohater, siła spokoju. Kot widać, że rwie się walki. Pustynny wiatr zwiewa piasek z wydm. Szef bandy mówi: *nie chcemy kłopotów. Oddaj nam swoje jedzenie i możesz odejść.*

Cięcie. Maksymalnie zbliżone zbliżenie na twarz bohatera. Mówi:

Niestety, przyjechaliście za późno – i z taką wyniosłą pogardą patrzy na zbiorów. Kładzie dłoń na głowie zwierzęcia. – *Mój kot zjadł już obiad.* No i wie pan tu powie „jamnik” bądź „chomik”, jak tam sobie będzie firma życzyła. I wtedy cięcie. Na dwie sekundy przed cięciem bohater uśmiechnie się szelmowsko.

I wtedy zwierzę tak na niego skacze! Z kłami i pazurami. Krwiożerczo. Dopada do gardła bohatera. Jest wściekły. Rozszarpuje mu tętnice. Bohater umiera. Złoczyńcy z przyszłości boją się zbliżyć. Odjeżdżają w popłochu. Pustynia jest niemym świadkiem tych wydarzeń.

Cięcie po raz ostatni.

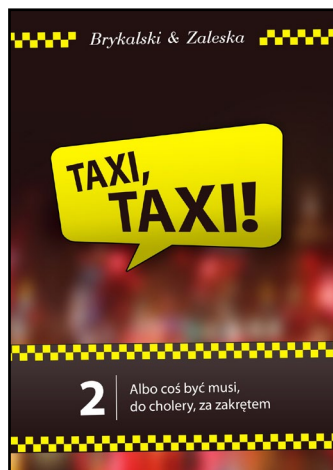
Kot oblizuje się. Jego pysk jakby się uśmiechał. Nie wiem jak to zrobić, ale pewnie spece od efektów coś wymyślą. W pustynnym piachu widać puszkę i na niej logo oraz nazwę. Tym razem powiedzmy, że jakaś szynka dla kotów,

wstępnie Ham4Cats. I hasło finałowe: „Twój kot, jamnik, chomik, niepotrzebne skreślić, będzie miał na to ochotę zawsze i wszędzie”. Jak pan to widzi?

– Pan się zatrzyma, stąd zdążę dobiec do kasy. A reklama? Wyborna, proszę pana. Palce lizać! Dramaturgia po prostu rewelacyjna. I ta pointa! Naprawdę. Biblijna! Jestem pod wrażeniem. Będę pamiętał do końca życia! – wyskoczyłem z auta.

Biegając do okienka wyrzucałem sobie, że nie kupiłem od razu biletu powrotnego. Tym bardziej, że wydało mi się, iż pani kasjerka, mógłbym przysiąc, spoglądała na mnie niczym drapieżnik z przyszłości, który właśnie zwęszył smakowitą strawę. Taksówkarz swoimi wizjami mocno podziałał na moją wyobraźnię. Bez dwóch zdań, kiedyś jego reklamy podbiją serca telewidzów.

Opowiadanie pochodzi z:



Dawid Brykalski
Magdalena Zaleska

Taxi, taxi! t. 2 albo coś być musi, do cholery, za zakrętem

Witold JABŁOŃSKI

Miotają mną twórcze niepokoje

Pisarz nieco starszej daty, ale za to o nowoczesnych poglądach. Zaczynał jeszcze za siermiężnych **czasów PRL**, lecz z sukcesem pisze do dziś. Tematyka utworów Jabłońskiego jest bogata i różnorodna. Autor nie stroni od współczesnych problemów, ale lubi też używać fantastycznej scenografii. W sumie wydał szesnaście książek, które do tej pory rozeszły się w łącznym nakładzie ponad **200 tys. egzemplarzy**.

Niebawem ukażą się dwie kolejne książki Witolda Jabłońskiego, a autor, jak twierdzi w wywiadzie, obmyśla kolejne.

Dawid BrykalSKI: *Co jest trudniejsze w naszym kraju: utrzymać się z pisania czy być pisarzem jednoznacznie kojarzonym ze środowiskiem homoseksualistów?*

Witold Jabłoński: „Jednoznacznie kojarzonym”?... No, ładnie... Ciekawe, bo sam siebie nie kojarzyłem, a i owo mityczne „środowisko” też mnie chyba słabo kojarzy. No, może po wydaniu *Kochanka Czerwonej Gwiazdy* już bardziej. Książka okazała się hitem w pewnych kręgach, choć oczywiście nie przebiła popularnością np. *Lubiewa*. I zresztą nie o to chodziło, bo moim głównym celem nie było wywołanie sensacji, lecz chciałem zwrócić uwagę na różne problemy, jak powszechna hipokryzja chociażby. Jestem zbyt indywidualistą, żeby stać się typowym przedstawicielem

jakiegokolwiek środowiska. Oczywiście jest problemem to, gdy inni ludzie postrzegają człowieka przede wszystkim poprzez orientację seksualną i oceniają tylko pod tym kątem. Natrafia się od razu na masę uprzedzeń, stereotypów myślowych, nieporozumień... a nawet, choć ja akurat rzadko, jawną wrogość. Najprostszą metodą jest nie przejmować się i nic sobie z takich rzeczy nie robić. Kiedy jesteś pewny siebie, działasz otwarcie i niczego nie ukrywasz, wytrącasz przeciwnikowi broń z ręki. Dopóki to tylko werbalna, a nie cielesna agresja, nie jest jeszcze tak źle. Należy po prostu unikać towarzystwa ludzi głupich i prymitywnych. Na szczęście nawet nasze wciąż jeszcze trochę zacofane obyczajowo społeczeństwo wiele potrafi wybaczyć „artyście”. Tak

czy owak artyści byli w każdej epoce i każdej kulturze „dewiantami”: ubierali się i żyli inaczej niż zwykli ludzie. Jak mieli kasę – balowali, jak nie mieli – głodowali. To jest także pośrednia odpowiedź na pytanie pierwsze: utrzymać się z pisania jest bardzo ciężko, bo nawet, gdy się napisze bestseller, autor dostaje i tak stosunkowo niewiele, najczęściej 10–15%. Literata ustawią finansowo adaptacje filmowe i wydania zagraniczne, ale nie każdy ma takie szczęście... W każdym razie od dziesięciu lat próbuję jakoś z tego żyć i jak widać, jeszcze nie zdycham pod płótnem, ale łatwo nie jest.

Czy na przestrzeni tych wszystkich lat dostrzegłeś jakieś zmiany w postawie swoich czytelników, a może szerzej i w społeczeństwie? Może wejście do Sejmu Ruchu Palikota coś odmieniło?

Na to, by zmienić mentalność społeczeństwa, trzeba kilku pokoleń co

najmniej, bo takie zmiany zachodzą najwolniej. Cała nadzieja w młodym pokoleniu, ich dzieciach i dzieciach ich dzieci, wychowanych już w nowych warunkach: demokracji, tolerancji, otwartości na świat i (tak!) pewnej poprawności, nie tyle politycznej, co kulturalnej. Kiedyś nawet wśród uczniów z dobrych liceów i studentów kierunków humanistycznych uchodziło za dobry styl śmiać się z „pedała” – teraz młodzi ludzie z tych środowisk wiedzą już, że to w złym guście. Oczywiście mentalność dresiarzy i kiboli nigdy się pewnie nie zmieni, ale inteligencja polska ma szansę. Mogę potwierdzić, że dokonuje się taka przemiana na przykładzie młodzieży spotykającej się na konwentach fantastyki. Dekadę temu „problem” homoseksualizmu był tam tematem tabu: panowała powszechna zmowa milczenia. Jak do niedawna w amerykańskiej armii: „don’t ask, don’t tell”.



Witold Jabłoński

O mnie, który od początku niczego nie ukrywałem, mówiono z przekąsem, że „się obnoszę” (zawsze miałem wrażeń, że młodzi heretycy „obnoszą się” sto razy bardziej, bez przerwy gadając między sobą o seksie i dziewczynach). W ostatnich latach sporo się jednak w tym względzie zmieniło: niektórzy z uczestników, a nawet działaczy ujawnili „zakazaną” orientację i... nic się nie stało. Reszta środowiska przyjęła ten fakt do wiadomości i zaakceptowała jako rzecz oczywistą. To napawa optymizmem i znaczy, że młode pokolenie zaczyna się powoli wyzwalać z pęt ciemnoty wciskanej im od dziecka przez starą konserwę. Na takich właśnie ludzi – światłych, nowoczesnych, postępowych – postawił świadomie Palikot i dlatego odniósł wyborczy sukces. Zrozumiał, że jest w naszym kraju

Młode pokolenie zaczyna się powoli wyzwalać z pęt ciemnoty wciskanej im od dziecka przez starą konserwę.

cała masa ludzi, którym nie odpowiadają wszechwładza duchowa kleru nad narodem, powszechne zakłamanie i dulszczyzna. Krzyż nad łóżem i niedzielną msza jako symbole polskiego bytu. Społeczeństwo coraz bardziej staje się świeckie, na wzór zachodni. Ważniejsze stały się dla ludzi dobrobyt i realizacja osobistych potrzeb, niż służenie wydumanym „ideom”, które lepiej nazwać swojsko kłamstwami. A czy Ruch Palikota wywalczy jakieś zmiany prawne? Pożyjemy, zobaczymy...

A czy Twoje pisanie to już pełnoetatowy zawód? Czy jeszcze przyjemność?

Napisanie powieści wymaga wiele czasu i wysiłku intelektualnego, więcej niż to się wydaje zwykłym zjadaczom chleba, według których powieści piszą się same, a literat bezustannie zbija bąki. Nie określiłbym siebie jako „etatowego” pisarza, bo to brzmi jakoś tak urzędniczo, niemal obraźliwie. Uważam się jednak za profesjonalistę w tym sensie, że pisanie jest moim głównym zajęciem i podstawą utrzymania. Różnie z tym bywa, jak już wspomniałem, ale jakoś się jednak udaje. Twórcza praca to jednak wielka frajda i satysfakcja. Chińczycy mają takie przysłowie: „Rób to, co lubisz, a wtedy nie będziesz musiał pracować”. To prawdziwie dobra sytuacja, kiedy sprawiasz sobie i innym

przyjemność nową powieścią i jeszcze trochę ci za to zapłacą... Nie narzekam zatem. Zawsze mogło być gorzej, gdyby np. nikt mej twórczości nie docenił i musiałbym męczyć się w jakimś biurze dla chleba.

Jesteś na tyle sprawny warsztatowo, że swobodnie poruszasz się w różnych stylizacjach: fantasy, horror, proza współczesna... Czym zaskoczysz nas w najbliższej przyszłości?

Napisałem kolejną fantasy historyczną *Słowo i miecz*, rozgrywającą się w XI wieku podczas tak zwanej reakcji pogañskiej. Postanowiłem zmierzyć się z mitologią i demonologią słowiańską, dość słabo wciąż wykorzystaną w naszej fantastyce, która do tej pory głównie naśladowała wzorce anglo-

saskie. Kryzys w branży wydawniczej sprawił, że wydanie książki mocno się opóźniło, jeśli jednak bogowie pozwolą, ukaze się w pierwszym kwartale 2012. Wiosną tegoż roku lubelska oficyna „Ifryt” opublikuje współczesny miejski horror w łódzkich klimatach *Miasto Nawiedzonych*. Obecnie pracuję nad kontynuacją *Słowa...*, zatytułowaną *Ślepy demon*. Błąkają mi się po głowie pomysły kolejnych powieści, lecz na razie zbyt mgliste, by o nich mówić.

Kto jest Twoją ulubioną postacią z tych, które „stworzyłeś”, i dlaczego?

Za dzieło swojego życia uważam, jak dotychczas, cykl o Witelonie *Gwiazda Wenus, gwiazda Lucyfer*, bo wypowiedziałem się w nim najpełniej. Naturalną kolejną rzeczą najbliższą mi postacią jest sam mistrz Witelo. Choć kawał z niego zimnego drania i cynika, a w wielu sytuacjach postąpiłbym inaczej niż on, to jednak tworząc jego fikcyjną biografię, odczuwałem wciąż rodzaj duchowego pokrewieństwa, jakąś mistyczną więź z moim bohaterem. Przydałem mu wiele swoich cech, jakkolwiek nie jest to mój autoportret. Ta postać dawno dojrzała, poszła w świat i zaczęła żyć niezależnym życiem w umysłach wielu czytelników, a jednak wciąż pozostała mi bliska, skoro poświęciłem jej tyle energii i serca. Może kiedyś do niego wrócę... to znaczy Witelo wróci z zaświatów w kolejnym tomie. Snuje mi się po głowie taki zamysł, ale na szczegóły jeszcze za wcześnie. Lubię też Fryne, bo to sympatyczna dziewczyna, ale się z nią nie identyfikuję, bo nigdy nie chciałem być kobietą.

Już wcześniej wspomniałeś, a ja teraz powrócę... Jestem w trakcie lektury Ko-

chanika Czerwonej Gwiazdy. Czy powieść ta, mająca zresztą swoją ciekawą historię, miała w zamysśle wywołać skandal?

Miała przede wszystkim, tak jak inne moje utwory, przekazać pewną prawdę społeczeństwu, nawet jeśli nie jest ona zbyt miła. Powiedzieć o tym, „o czym się nie mówi”, jak to napisała sto lat temu Zapolska. Nie bardzo mnie obchodziło, jak zareaguje na to konserwatywne mieszczaństwo, tym bardziej że literacki *coming out* miałem już za sobą, skoro w 1988 roku zadebiutowałem prozą *Gorące uczynki* o podobnej tematyce, choć przedstawionej znacznie łagodniej. Skandal pewnie by wywołała, gdyby ukazała się 20 lat temu, kiedy została napisana. A skandal to zawsze dobra reklama dla twórcy. W dzisiejszych czasach radykalizm tej powieści wydaje się nieco staromodny, lecz doskonale wyobrażam sobie, że niektórych wciąż może oburzać. I dobrze im tak.

Brałeś się też za tłumaczenia. Jeśli się nie mylę, to przede wszystkim rosyjskiej science-fiction? To świadomy wybór, czy raczej przypadek, zlecenie od wydawcy?

Gdyby nie tłumaczenia, pewnie przymierałbym głodem chwilami. Chwała bogom, że szef wydawnictwa „Solaris” zaproponował mi przekłady rosyjskiej fantastyki. Dla niego przetłumaczyłem dwa klasyczne utwory science-fiction Kira Bułyczowa i czterotomowy cykl fantasy *Tułacze* państwa Diaczenków. Dlaczego rosyjski? Mniejsza konkurencja w branży, bo dziś każdy niemal włada angielszczyzną, ale rosyjskim już nie. Tak się składa, że moja babcia była rodowitą Rosjanką, więc mam w tym

względnie solidną podbudowę genetyczną... Wydawca jednak namawia mnie, bym spróbował swych sił także w angielszczyźnie. Może się odważyć, bo kiedy widzę poziom większości przekładów anglosaskiej fantazy, wyzbywam się wszelkich kompleksów.

Jesteś nienasyconym „konsumentem kultury”, mimo że sam dużo piszesz, starasz się chyba dużo czytać, oglądać, słuchać... Co w ostatnim czasie jakoś szczególnie Cię zaciekało i przeciwie nie ; jakie dzieło wzbudziło Twój niesmak?

Staram się tak dobierać sobie lektury i filmy, by się nie rozczarować, chociaż oczywiście różnie z tym bywa. Zachwy ciło mnie ostatnio kilka amerykańskich seriali: *Rzym*, *Spartakus*, *Rodzina Borgiów*, *Zakazane imperium*... Te produkcje mają tak wysoki poziom, nie tylko budżetowy, ale też artystyczny, o jakim nasza TV może sobie na razie tylko pomarzyć. Z krajowej kinematografii najbardziej przypadły mi do gustu dzieła młodych twórców: *Wszystko co kocham* Borcucha

i *Sala Samobójców* Komasy. Udało się tym filmom trafić przede wszystkim do młodej widowni i części krytyków, co napawa otuchą, że nie jest z polską kinematografią tak beznadziejnie, jak można by sądzić. A niesmak? Hm, nieco irytuje mnie nadmierne już eksploatowanie postaci wampira w młodzieżowych seriach, tworzonych głównie dla egzaltowanych panienek i robienie z niego na siłę ulizanego lalusia ze szkolnych pamiętników. Mam nadzieję, że ta moda przeminie i nie stanie się trwałym trendem kinematografii. Człowiek wzdycha podświadomie do wczesnych lat 90., do *Draculi* Coppoli i *Wywiadu z wampirem* Jordana... W długie zimowe wieczory czytam ostatnio *Trylogię Czarnego Ognia* Friedman i *Kroniki Czarnej Kompanii* Cooka, przy czym obie sążniste sagi dostarczają mi sporej satysfakcji. Nie mam jednak zbyt wiele czasu na czytanie, gdy piszę i miotają mną twórcze niepokoje.

Rozmawiał: Dawid Brykalski

Zdjęcie: Magdalena Zaleska

Fragment powieści Witold Jabłońskiego
Miasto Nawiedzonych, która ukaże się wiosną 2012
nakładem lubelskiej oficyny Ifryt.

Dyrektor Mirosław, klęczał pod krzyżem w swoim gabinecie, wsłuchując się w dobiegającą z radia mszę poranną. Modlił się żarliwie, zapamiętał, lecz w pewnej chwili wyczuł jakąś obcą obecność... Owiał go wonny dym egzotycznego papierosa.

Obejrzał się z groźną miną w stronę tajemniczego intruza i ujrzał interesu-

jącą osobkę, pochodzącą jakby z innego świata, ubraną bowiem z nietutejszą i niedzisiejszą elegancją. Zasiadała w swobodnej pozie po drugiej stronie biurka. Twarz skrywały po części duże przydymione szkła okularów i rondo kapelusza.

– *Guten Morgen, Herr Direktor...* – przywitała się grzecznie nieznajoma,

niskim, zmysłowo schrypniętym głosem. – Przepraszam, że przeszkadzam w porannej rozmowie z *Herr Gott*.

Dyrektor zaczerwienił się, jakby przyłapany na czymś wstydlwym. Odruchowo obciągnął tandetną marynarkę i zerwał się gniewnie z klęczek.

– Kim pani jest?! Jak pani tutaj weszła?! Moja sekretarka miała wyraźne polecenie...

– Biedaczka musiała akurat wyjść do toalety – wyjaśniła tamta. – Nie miałam komu się spowiadać, więc weszłam.

– Już ja ją wypowiadam! – pienieł się Mirosław.

– Krótco pan trzyma pracowników, jak widzę – rzekła z aprobatą Niemka. – To mi się podoba. Nie ma jak dyscyplina! W firmie mego ojca było tak samo. *Ordnung muss sein...*

– Nadal nie wiem, kim pani jest? – zapytał nieufnie.

– Słyszałam, że w Polsce ludzie są pobożni, ale nie myślałam, że do tego stopnia – podjęła z lekkim zdziwieniem, wskazując ruchem głowy krzyż na ścianie. – Czy to zalecenie władz Miasta? – zainteresowała się.

Dyrektor wzruszył ramionami.

– Mamy demokrację, jeśli chce pani wiedzieć. Wolność sumienia i wyznania. Moje potrzeby religijne są moją prywatną sprawą...

– W godzinach urzędowania? – wtrąciła z szyderym grymasem.

– A pani jest... Niemką? – zagadnęła, chcąc zmienić temat.

– Owszem – przyznała. – Niemką z Argentyny. Wyznania ewangelicko-augsburskiego, jeśli chce pan wiedzieć.

Dyrektor wciąż spoglądał nieufnie na nieproszonego gościa, zrobił się jednak grzeczniejszy. Uspokoił się szybko i zasiadł dostojnie za biurkiem.

– Świetnie pani mówi po polsku – zauważył z aprobatą.

– Staram się... Ojciec mnie nauczył – odpowiedziała skromnie.

– Więc jest pani... – zaczął, znacząco zawieszając głos.

Oczywiście już od dłuższej chwili domyślał się, z kim ma do czynienia. Wbrew temu, co o nim mówiono, nie był taki głupi, na jakiego wyglądał.

– Dziedziczką kamienicy i fabryki przy ulicy Niebyej. Lilli Herzenglas – przedstawiła się wreszcie.

– Ach tak – sapnął Mirosław. – Czego pani sobie życzy? – przeszedł od razu do rzeczy.

Lilli uśmiechnęła się swoim charakterystycznym, zagadkowym uśmieszkiem, który tak urzekł mecenasa Ciemołęckiego.

– Najchętniej aktu własności, poświadczającego, że jestem jedyną legalną spadkobierczynią – oświadczyła bez ogródek.

Dyrektor uciekł w bok spojrzeniem. Jego twarz zastygła w nieprzyjazną maskę.

– Rozmawiałem już na ten temat z pani adwokatem...

– Tak, mecenas mówił mi, że istnieją jakieś przeszkody prawne i proceduralne. Wszędzie biurokracja... W Argentynie jest tak samo. Wierzę jednak, że w końcu uda się rozwiązać każdy problem.

Niby mimochodem bawiła się diamentowym wisiorciem. Dyrektor wpa-trzył się zafascynowany w klejnot.

– Hm, nie wiem. Nie jest pani przecież obywatelką naszego kraju... Nie wystarczy znajomość języka...

– Jeśli to będzie konieczne, wystaram się o obywatelstwo – zapewniła. – W wolnym świecie prawo własności to fundament...

Dyrektor skrzywił się z niechęcią.

– Przyjeżdżają tutaj całe tabuny cudzoziemców, którzy chcą nas pouczać. A wraz z nimi pojawiają się narkotyki, zorganizowana przestępczość, zbrodnie seksualne... Nie wiem, czy potrzebne były nam te wszystkie swobody.

Lilli roześmiała się pozornie niefrasobliwie, lecz zarazem trochę złowrogo.

– Naprawdę sądzi pan, że chcę sprowadzić jakąś nieczystą plagę na wasz katolicki naród? Jestem tylko zagubioną w obcym kraju kobietą...

– Pozory często myślą – odparł nadal nieufnie. – Demony nieraz przybierają kuszącą postać.

– Potraktuję to jak komplement. Ale skoro nie zechce mi pan pomóc, będę interweniować wyżej... a zapewniam, że jestem bardzo operatywna – dodała tonem pogroźki. – Wydaje mi się pan uczciwym człowiekiem i nie chciałyby przysparzać panu kłopotów, dyrektorze.

Wciąż bawiła się klejnotem, jakby chciała zahipnotyzować urzędnika.

– Jestem przejrzysty jak diament – odparł machinalnie. – Czy to rodowy klejnot? – nie powstrzymał cisnącego się na usta ciekawskiego pytania.

– Powiedzmy: bardzo droga pamiątka. Więc jak będzie? Dogadamy się? – zakończyła rzeczowo.

– Twarda z pani sztuka! – ocenił z mimowolnym podziwem. – Zobaczę, co da się zrobić. A na razie...

Uniósł się lekko, jakby dając do zrozumienia, że rozmowa dobiegła końca. Lilli powstrzymała go gestem dłoni w rękawiczce z koźlej skórki.

– Na razie potrzebny mi jest przedwojenny plan kamienicy – poinformowała oschle. – W Archiwum Miejskim powiedzieli, że jest u pana.

Dyrektor uśmiechnął się sztucznie, znów uciekając wzrokiem.

– A na cóż pani te stare szpargały?

– Ciekawa jestem, do czego panu były potrzebne? – podjęła podejrzliwie.

– Czyżby Miasto miało jakieś własne plany co do tej posesji?

– Nie, skądże, to przecież kompletna ruina – zastrzegł nieszczerze Mirosław, czerwieniąc się mimo chęci.

– Mam takie osobiste hobby. Lubię zgłębiać dzieje starych domów...

– Zwłaszcza mojego? – przerwała zaczepnie.

– Jeszcze oficjalnie nie należy do pani – przypomniał jej z naciskiem.

– Mam nadzieję, że prawo zwycięży – odrzekła z przekonaniem. – A skoro zainteresował się pan tą kamienicą, może wie pan, dlaczego wejście do mieszkania mego dziadka zostało zamurowane?

Dyrektor drgnął niespokojnie.

– To było dawno, nie było mnie jeszcze wtedy na świecie – wymamrotał zakłopotany. – Część akt uległa zniszczeniu...

– Musi pan jednak coś wiedzieć! – nie poddawała się. – W Archiwum powiedziano mi, że zdarzyło się to w latach pięćdziesiątych.

– Mroczne czasy stalinizmu – mamrotał niechętnie urzędnik. – Podobno mieszkał w tym apartamencie wysoko postawiony działacz, który wylądował

w domu wariatów... Następni lokatorzy znikali w tajemniczych okolicznościach... ale wtedy ludzie często znikali.

– Zwłaszcza ci na wysokich stanowiskach, prawda? – zasugerowała bystro. – Tak, jak całkiem niedawno u nas, w Argentynie, za rządów junty... Mniejsza o przeszłość. Chcę się dostać do tego fatalnego mieszkania i zamieszkać w nim. Mam zamiar wyremontować dom na własny koszt, żeby odzyskał dawną świetność.

– Czy to konieczne? – zareplikował niepewnie. – A może lepiej wszystko zostawić tak, jak jest?

Uniosła dumnie podbródek.

– Wyobraża pan sobie, że skoro wróciłam do domu przodków, będę mieszkać w hotelu?! Albo wynajmować u obcych?

– Może pani otworzyć puszkę z Pandorą – zaoponował lękliwie.

– Chyba puszkę Pandory? – poprawiła go ze złośliwym uśmieszkiem.

– Jak zwał, tak zwał – mruknął, wzdychając ciężko. – Ważne, że się rozumiemy, proszę panią.

Lilli miała dosyć tej gry pozorów. Uznała, że nadszedł czas, by postawić sprawę na ostrzu noża.

– Dostanę ten plan, czy mam iść do prezydenta Miasta?! Mogę także nagłośnić w mediach, jakie mi robicie trudności... A o ile wiem, wkrótce kolejne wybory – dorzuciła z naciskiem.

Urzędnik znowu westchnął.

– Ależ to starodruki – nie dawał jeszcze za wygraną. – Nie mogę ich wydać ot tak...

– Ale z pewnością macie tu jakieś ksero? – odparła, rozglądając się bystro.

– Papier może się zniszczyć...

Zrobiła lekceważącą minę.

– Och, niech pan nie przesadza. Jeden krótki błysk i będzie po wszystkim.

– Mówiła pani, że chce wyremontować dom? – zainteresował się nagle urzędnik.

– Tak. Właśnie dlatego potrzebuję starych planów – wyjaśniła. – Nie chcę naruszyć zabytkowej konstrukcji.

– A... co z lokatorami?

– To już mój problem – ucięła twardo. – Niewielu ich zostało... Więc jak będzie?

– Chyba zrobię pani na rękę – poddał się w końcu dyrektor. – Bo pani nie ustąpi, prawda?

– Ma pan do czynienia z twardą Niemrą – przypomniała z chłodnym uśmiechem.

Dyrektor westchnął raz jeszcze, wydobyl ze stosu teczek plany kamienicy i poszedł z nimi do sekretariatu.

– Pani Basiu! – rzekł władczo do sekretarki. – Proszę to od razu skserować! I na przyszłość lepiej pilnować sekretariatu!

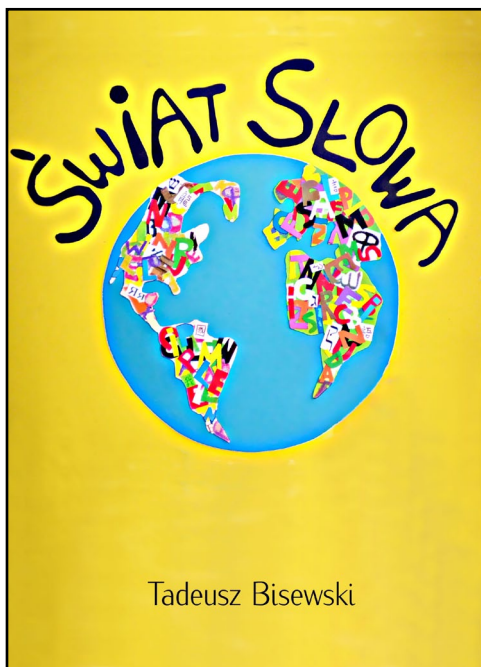
Lilli uśmiechnęła się triumfalnie. Dopięła swego, mimo tępego uporu biuralisty. Pierwsze małe zwycięstwo.

– Może kawy? Ze śmietanką? – zaproponował uprzejmie Mirosław, wracając do gabinetu. – Zaczynam od niej dzień.

– O tak, chętnie – poprosiła Lilli. – Jednak potraficie być Europejczykami, gdy chcecie – pochwaliła dwuznacznie.

Dyrektor nie zauważył uszczypliwości. Rozłożył ręce.

– Wszyscy staramy się odnaleźć w nowej sytuacji – rzekł poważnie. – Nie jest nam łatwo...



Jak powstało pismo?

Czym jest alfabet?

Jak działa język?

Jak rozmawiają zwierzęta?

Dlaczego litery mają takie kształty. a nie inne?

**Czym jest tekst.
a czym literatura?**

**Kto naprawdę
wymyślił druk?**

**Na czym polega i jak jest
możliwa interpretacja?**

Odpowiedzi na te i inne ciekawe pytania znajdziecie w książce pt. *Świat słowa*. Podczas przyjemnej lektury odbędziecie podróż przez kilka dziedzin wiedzy – od językoznawstwa ogólnego i historycznego, poprzez teorię tekstu, aż do elementów teorii literatury.

Obecna w książce fabularyzacja nie tylko uprzyjemnia lekturę, ale również umożliwia powrót do dawnego sposobu pisania podręczników na zasadzie dialogu (pytanie – odpowiedź). Metoda ta znacznie ułatwia przyswojenie wiedzy, zwłaszcza młodemu czytelnikowi, który w ten sposób nie jest zmuszony do wyławiania informacji z podręcznikowego monologu, lecz otrzymuje je w formie jasnych odpowiedzi na każde pytanie bohaterów. *Świat słowa* skierowany jest przede wszystkim do licealistów, jednak może zainteresować osoby w każdym wieku.

Dla mnie literatura jest wspaniałą możliwością przeżywania rzeczy, których osobiście nie mogłabym przeżyć, możliwością zdobywania nowych doświadczeń, których w inny sposób bym nie zdobyła. To sposób rozwoju osobowości, umiejętności rozumienia innych ludzi, zdobywania wiedzy o świecie.